

4 (16) 2014

Wschód

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Obraz autorstwa Pauliny Andor



Andrzej Jankowski pasjonat zapomnianych przedmiotów



Kwartalnik Społeczno-Kulturalny



Wydawca

Poleskie Towarzystwo Medialne



22-200 Włodawa
ul. Lubelska 56
Tel. (82) 57 21 353

Współwydawca:

Muzeum Pojezierza Łęczyńsko - Włodawskiego

Prezydium Rady Programowej:

Przewodniczący:

Mariusz Telepko

Dyr. Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego

Wiceprzewodniczący:

Mikołaj Butrym - Dyr. Włodawskiego Domu Kultury

Partner medialny:

Twoje Radio Włodawa

Druk i skład:

Drukarnia i Wydawnictwo Akademickie Wyższej
Szkoły Społeczno - Przyrodniczej im. Wincentego
Poła w Lublinie
20-448 Lublin,
ul. J. Porazińskiej 3

Adres redakcji:

22-200 Włodawa
ul. Asnyka 20
Skrzynka mailowa:
ksk.wschod@gmail.com
Tel.: (082) 57 21 954

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.
Nie odsyłamy nie zamówionych materiałów.
Zastrzegamy sobie prawo do redagowania
i skrótów nadsyłanych tekstów.



Aldon Dzieciół
Redaktor naczelny
aldon.dzieciol@gmail.com



Renata Włostowska
Sekretarz redakcji
ksk.wschod@gmail.com



Marta Ładak
Korektorka



Jakub Dzieciół
Grafik



Joanna Szubstarska
Członek redakcji



Monika Durska
Członek redakcji



Mieczysław Tokarski
Członek redakcji



Włodzimierz Czeżyk
Członek redakcji



Zbigniew Woszczyński
Członek redakcji



Piotr A. Czyż
Członek redakcji

Z redakcją stale współpracują:

Agnieszka Gąsior-Mazur - Prezes Lubelskiego Klubu Biznesu
Prof. Sławomir Partycki - KUL, Przewodniczący Lubelskiej Rady
Towarzystw Regionalnych

Waldemar Michalski - Wiceprezes Związku Literatów Polskich
w Lublinie, Sekretarz Redakcji „Akcentu”

Zbigniew Włodzimierz Fronczek - Prezes Stow. Pisarzy Polskich
w Lublinie, red. nac. „Lublin Kultura i Społeczeństwo”

Longin Jan Okoń - były Prezes Związku Literatów Polskich w Lublinie

Szanowni Czytelnicy

Wprawdzie upłynęło już trochę czasu od zakończenia XV Festiwalu Trzech Kultur, ale tak to przecież jest, że piękne chwile się długo wspomina. Bez wątplenia w kończącym się 2014 roku festiwal był w całym naszym regionie wydarzeniem kulturalnym numer jeden. Można powiedzieć, że zagrało wszystko: bardzo bogaty program, świetna organizacja i dobra pogoda. Ja przez trzy festiwalowe dni, prezentując na stoisku moje książki, zwracałem szczególną uwagę na to, co mówią o Włodawie i Festiwalu przyjezdni goście, których w mojej ocenie z roku na rok jest coraz więcej. Miałem rozmówców między innymi z Warszawy, Wieliczki, Zamościa, Lublina, Chełma, z Białej Podlaskiej, z Parczewa i innych miejscowości. Wszyscy podkreślali wspaniałą festiwalową nastrój z przedwojennymi trafnie dobranymi i jakże wzruszającymi klimatami. Ci co przyjechali gdzieś z daleka, z innych stron chwalą Włodawę. Podkreślają wyjątkową trójświętynną specyfikę i ogólny urok miasta, z jej przebogatą wielokulturowością, a także piękne, polskie, przyrodniczo różnorodne okolice. Chcę w tym miejscu zaakcentować, ponieważ nie zawsze sobie uświadamiamy, jaka to była wielka rzecz, że w przedwojennej Włodawie, w której zamieszkiwały różne nacje o odmiennych wyznaniach i kulturze, a potrafiły żyć zgodnie, z wzajemną tolerancją i szacunkiem do swoich tradycyjnych, wielowiekowych odrębności. Warto i trzeba o tym w ciągle niespokojnym i pełnym nienawiści świecie nieustająco przypominać, bo to wyjątkowo chlubna część naszej włodawskiej tradycji i historii. Fundament najwyższego dobra, jakim jest pokój wśród narodów, bezpieczeństwo rodzin zaczyna się właśnie od tolerancji i wzajemnego szacunku.

Przed nami koniec roku, ważne, tradycyjne, świąteczne doznania - Wigilia, Pasterka, rodzinne spotkania, smakołyki na stole, śpiewanie kolęd, prezenty gwiazdkowe. Halina Szymanderska w książce pt.: „Polskie tradycje świąteczne” pisze: *Silny wpływ na obrzędowość naszych świąt Bożego Narodzenia oprócz rzymskich Saturnaliów* (Saturn to staroitalski

Bóg rolnictwa) - *wywarły też pogańskie święta na cześć zmarłych. Słowianie obchodzili je cztery razy w roku (w czasie przesileni i równonocy), a najbardziej uroczyste zimą, w dniu naszej Wigilii. Zamiast wieczerzy wigilijnej mieli dawni Słowianie stypę za dusze. Dobór obrzędowych potraw i zwyczajów wigilijnych wyraźnie świadczy, że korzenie tej wieczerzy sięgają czasów prasłowiańskich.*

Pradawne słowiańskie uczyty za dusze składały się z potraw postnych, stąd staropolska nazwa wieczerzy wigilijnej postnik lub pośnik. Jedną z przedchrześcijańskich potraw, która na wschodzie Polski przetrwała do dzisiaj jest kutia. Na Lubelszczyźnie, w mojej wiosce, która leży pomiędzy Parczewem a Lubartowem i także na terenach nadbużańskich, skąd pochodzi moja żona, gdzie na wsiach zamieszkują i katolicy, i prawosławni jeszcze do dziś po wieczerzy wigilijnej potrawy na stole zostają na całą noc po to, by dusze przodków, które odwiedzają w Wigilię swoje dawne domy mogły się pogościć.

Tuż po świętach dosłownie

- **na barani skok**

Sylwester i Nowy 2015 Rok!

I tutaj miło mi poinformować, że rozpoczynamy piąty rok istnienia WSCHODU. Dziękuję wszystkim, co nas czytują, za bycie z nami dotychczas i zapraszam do czytania włodawskiego periodyku o kulturze przez kolejny roczek, za co z góry dziękuję, jednocześnie łączę najlepsze pozdrowienia, zaś

*Z okazji nadchodzących
Świąt Bożego Narodzenia*

i Nowego Roku

życzę

w imieniu redakcji Wschodu

wszystkim Czytelnikom

wszelakiej radości w pokoju

i w świątecznym, zdrowym,

pogodnym nastroju.

Aldon Dzięcioł



fot. burkot.com.pl

Red.

Rozmowa z Jagodą Stanicką

Po wakacjach, na zaproszenie redakcji Wschodu, odwiedziła nas nasza włodawska, niezwykle utalentowana pianistka - Jagoda Stanicka.

Dawno nie widzieliśmy się, co u Ciebie?

Nauka, koncerty, konkursy. I tak ciągle, zresztą to moje życie, które bardzo, bardzo lubię.

Wymień choć kilka miejscowości gdzie koncertowałaś?

Na „Święcie muzyki poważnej” w Brześciu na Białorusi grałam Chopina. Występowałam także w Warszawie w Łazienkach Królewskich i w Żelazowej Woli.

Gdyby twoje występy ująć w cyfry, to ile razy występowałaś przed publicznością?

Dotychczas w 2014 roku grałam na około 40 koncertach.

Jakieś szczególne osiągnięcia też były?

Raczej tak. Na konkursie w Centrum Edukacji Artystycznej, po obowiązkowych przesłuchaniach, przesłam z etapu makroregionalnego do etapu ogólnopolskiego z najwyższą punktacją, a następnie w Krakowie otrzymałam wyróżnienie.

Powiedz kilka słów o szkole, o nauce.

Aktualnie uczę się piąty rok w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych w Warszawie u profesora Edwarda Wolanina, który jest także wykładowcą na Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Drugim moim nauczycielem jest pani Justyna Galant-Wojciechowska.

Pamiętasz jakieś wydarzenie, które zapadło w twojej pamięci lub też szczególnie cię wzruszyło?

Myślę, że coś takiego wydarzyło się w październiku 2013 roku. Otóż podczas konkursu szopenowskiego dla młodzieży w Warszawie zagrałam Mazurka a mol op.17 nr 4. Na widowni zapanowało ogólne wzruszenie a część publiczności za wspaniałe wykonanie złożyła mi osobiście gratulacje, obdarowując mnie wiązkami kwiatów. Natomiast jurorzy uhonorowali mnie nagrodą specjalną za najlepsze wykonanie utworu Chopina.

Na zakończenie tej miłej rozmowy powiedz jeszcze, jakie masz plany na 2015 rok?

W pierwszym kwartale udział w konkursie Karola Szymanowskiego w Warszawie. Mam także perspektywę wyjazdu zagranicznego. Być może konkurs w Serbii i ciągle nauka oraz koncerty w kraju.

A główne plany życiowe związane z muzyką?

Matura i studia muzyczne w klasie fortepianu, najchętniej w Warszawie lub za granicą.

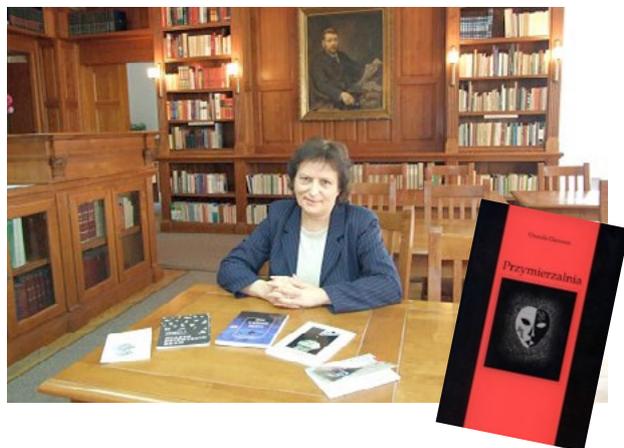
Jagoda, trzymamy tutaj we Włodawie kciuki za realizację Twoich ambitnych planów i bardzo Ci dziękuję za rozmowę.



Opracował: Aldon Dzieciot

Z literaturą od wschodu ze „Wschodem”

Chwila z poezją



Wiersze z tomiku *Przymierzalnia*

Urszuli Gierszon z Lublina

Gra

Dotknij mnie i powiedz że dla ciebie jestem
A będę dopóki taką będziesz mnie chciał

Twoje ręce wyjedwabią moją skórę i włosy
Będziemy tworzyć wspaniały tymczasowy raj

Później zostanę dla ciebie tylko cieniem

Który światło przestania i nie daje wytchnienia
Odejdę ze swoim cieniem ty – w siną dal

Będę czekała aż mnie dotknie jakiś inny „on”
I powie: Jesteś dla mnie bądź! Taka gra w berka

Wyznanie

Moje włosy przyprószył błądy pył księżycy
A jeszcze flet łka melodią słodko miodną kusi

Na łące taniec pszczoł zachwyca
las chaosem i harmonią dźwięków wabi

Jeszcze drzę jak rozwidlona wierzbowy różdżka
Nad powierzchnią podziemnych wód Selene

Pełno mnie w przyrodzie i kipię w snach

Pytanie zasadnicze

Rzucenie palenia nie jest łatwe
Trudno uwierzyć że można
w szalonej gonitwie przystanąć

Rzucenie palenia jest łatwiejsze
jeśli możesz władać swoją wolną wolą
Rzucenie palenia jest zabawne
gdy najważniejsze dla ciebie jest nie być demode

Rzucenie palenia jest możliwe
jeżeli pojmiesz że można odejść za wcześniej

Przymierzam się do nie palenia
To bezsensowne jeśli jeszcze
nie znam odpowiedzi na pytanie:

Czy chcę...?

Budzisz mnie...

dźwiękiem wibrującym w uszach
jak w dzwonnicy ciała
Umiera we mnie kobieta obumiera we mnie
człowiek

Otwierają się spękane dłonie ziemi
jak skorupa glinianego dzbana
rozsypują się w proch

I staję się naczyniem wypełnionym modlitwą
Jej żar ciepło trzyma woda w krew
się zmienia

Przymierzalnia

Przymierzam twarze
jak ciuchy w lumpeksie

Maski używane zmięte czyjeś
Chropawe zimne gładkie ciepłe
Żadna nie pasuje

Nawet ta w lustrze
znoszona

Ulica- lumpeks
Praca- lumpeks
Kraj – lumpeks

Ćmy z dziurawymi skrzydłami
Nad głową krążą jak lelki

To one powiodą ku Nawi
Pójdę bez maski

Skowronek elegancki - Aura Szymanowska

Pojawiła się na scenie lubelskiej w 1964 roku i w miejscach zdobyła przychyłność publiczności. Elegancka i wytworna wizualnie redysponowana była do ról arystokratycznych. Reżyserzy to wykorzystywali. Przez długie lata nikt nie wpadł na pomysł, żeby sprawdzić, jakie pokłady charakterystyczności drzemią w tej wytwornej artystce. Dopiero w 1975 roku obsadzoną ją w „nitouche” – Hervego w roli primadonny Korynny, prowincjonalnej divy operetkowej. W tej postaci zawarła i zaprezentowała wszystkie cechy śpiewaczki z pretensjami, żądzącej małym objazdowym teatrem, teatrem tak często opisywanym i obśmiewanym w polskiej literaturze. A ponieważ dysponowała świetnym głosem jej rola była przekonująca aż do bólu. Ale to było później.

Początki, czyli debiut nie był rewelacyjny, ale tak musiało być, bo Lublin opornie akceptował nowych artystów. Ale już druga premiera stała się sukcesem młodej i urodziwej śpiewaczki. Potwierdzają to opinie krytyków, którzy nie żałują Aurze Szymonowskiej komplementów. A. Leszek Gzela po premierze „Sprytniej Wiedenki” donosił: „Daswina Aury Szymanowskiej jest pełną postacią sceniczną. Aktorka wydobyla psychologiczny podtekst decyzji Daswiny. Dodając do tego przyjemny głos Szymanowskiej i dojrzałą grę aktorską, można powiedzieć, że jej Daswina wyróżnia się z całego zespołu”. Właśnie niecodzienny głos miał być jej największym atutem w repertuarze, który stawiał przed artystkami nie małe zadania. Spozrzęła to Maria Bechczyc Rudnicka, kiedy oceniając talent Aury Szymanowskiej pisała: „panią Szymanowską podziwiamy nie od dzisiaj (w rolach pierwszoplanowych), a więc jej Arsena wypadła znakomicie pod względem głosowym, tudzież swobody „ruchu scenicznego” i po kolejnych premierach komplementuje dalej „czarującym zjawiskiem jest Aura Szymanowska w roli płochej żony posła – Walentyny. Śpiewa z dużą kulturą, gra z wytworną swobodą, wygląda prześlicznie”. Z innej recenzji dowiadujemy się, że „głos Szymanowskiej bardziej odpowiada warunkom operetki (niż musicalom), a jego zaletą jest piękny miękki timbre”.

Aura Szymanowska przez cały czas występowania w Lublinie walczy o coraz wyższe uznanie dla swojego talentu i chyba osiąga swój cel, bo po paru sezonach Maria Bechczyc Rudnicka tak podsumowuje jej osiągnięcia: „Przechodząc już do artystów znanych z poprzednich sezonów trzeba adresować wyrazy uznania do Aury



Szymanowskiej, która zachwyca w roli wiedenki Wally głosem będącym, że się tak brzydko wyrażę – filarem nie jednego ansamblu, a już w ręcz błyskotliwym w koloraturowym „numerze” z fletem. Ale nie tylko głosem podbija publiczność Aura Szymanowska, lecz werwą aktorską (świetna scena z ochmistrem)”. Z kolei Wiera Korneluk po premierze „Nitouche” tymi słowami wyraża swoje uznanie: „trafnie została obsadzona także Korynna, kapryśna i romansowa primadonna, którą gra z temperamentem Aura Szymanowska. Ma też Szymanowska ładną partię wokalną, którą wykonuje koncertowo, dokumentując tym klasyfikację korynny do zajmowanego stanowiska primadonny i gwiazdy operetki”. Wturuje jej (Korneluk) Ludwik Gawroński: „Aura Szymanowska w roli zawistnej aktorki Korynny wypadła bardzo korzystnie: potraktowała – jak zawsze zresztą – swoje zadanie wokalne umiejętnie i z dużą kulturą gry aktorskiej”.

W latach 80. wyszła za mąż za dyplomatę i wyjechała na placówkę. I tam występowała na koncertach, propagując piękno polskich pieśni i zachwycając kunsztem

śpiewaczym, jednocześnie rozślawiając „kozi gród”.

Z uszczerbkiem dla kultury muzycznej Lublina zesłała zbyt wcześnie na emeryturę. Nie miała szczęścia zagrać kilku tytułowych ról, do których była predysponowana. Ominęły ją operetki takiego kalibru, jak: „Kraina uśmiechu” – Lehara czy „Piękna Helena” Offenbacha, bo dyrekcja lubelskiej operetki miała w planach powtórzenie tych dwóch pozycji, w których Aura Szymanowska odniosła sukces. Umknęła mi przyjemność współpracy z autentyczną diwą operetkową, u której talent, wdzięk, głos i kultura szły w parze.

Anegdoty na pięciolinii



W czasie spektakli operowych czy operetkowych śpiewacy wiedzą, w których miejscach najczęściej publiczność bije brawa. Na ogół nie zdarza się, aby huraganowe oklaski rozległy się na początku arii. A tak wydarzyło się w poznańskiej operze przed wojną, kiedy w KRAINIE UŚMIECHU Franciszka Lehara znakomity śpiewak Kazimierz Czarnecki każdego wieczoru wzruszał poznańską publiczność sentymentalną arią, której refren brzmiał: „Uśmiech na ustach, gdy w sercu jest ból to najtrudniejsza z życiowych ról”.

Tego feralnego dnia, kiedy wszedł na scenę i zaśpiewał pierwsze takty arii: „Przychodzę tu do niej, tęsknota mnie gna...” publiczność nagrodziła artystę długo niemilknięcymi brawami i salwami śmiechu. Znakomity tenor nie speszony brawami śpiewał dalej, jednocześnie rzucając spojrzenia za kulisy, gdzie cały zespół, obserwując scenę, pokładał się ze śmiechu. Dopiero głos z budki suflera uświadomił śpiewakowi przyczynę wesołości na sali. Sufler, nie bawiąc się w zawiałości językowe, krzyknął, aż widzowie posłyszeli:

- Mistrzu! Rozporek nie zapięty!!! Artysta zszedł ze sceny w huraganie braw, doprowadził garderobę do porządku i zaczął śpiewać od początku. Ale tego wieczoru na widowni nie było płaczących widzów.

Stanisław Brodacki, popularny aktor teatrów Olsztyna i Elbląga, przeżył w swoim życiu rzadko spotykaną przygodę artystyczną. Absolwent Łódzkiej Szkoły Teatralnej był aktorem dramatycznym, lecz przy okazji posiadał rzadkiej piękności głos tenorowy. Ten głos doprowadził go do przesłuchania w Teatrze Wielkim w Warszawie, gdzie aktor zachwycił dyrektora Bohdana Wodiczkę do tego stopnia, że ten zaangażował go do pierwszoplanowych, tenorowych ról. I nie wiadomo jakimi drogami potoczyłaby się kariera Brodackiego, gdyby nie jego specyficzne poczucie humoru. Otóż na którejś z prób Bohdan Paprocki, śpie-

wając na scenie markował wysokie dźwięki arii. W pewnym momencie do siedzącego na widowni pana Stanisława dosiadł się Bernard Ładysz i szepnął Brodackiemu z charakterystycznym wschodnim akcentem:

- Ty Stasiu pokaż Bogdanowi, jak to się to wysokie „c” bierze. Brodackiemu nie trzeba było dwa razy powtarzać i kiedy Paprocki doszedł do momentu, kiedy powinien zaśpiewać wysoki dźwięk, Brodacki huknął za niego wysokie „c” i trzymając ten dźwięk bardzo długo, opuścił widownię. Ten wybryk kosztował go także opuszczenie murów Teatru Wielkiego i koniec kariery śpiewaczej.

Tenże artysta zaangażował się na sezon do Lubelskiej Operetki. Na którymś ze spektakli do tego stopnia rozmiął się z orkiestrą, że swoją arię skończył o kilka taktów wcześniej. Po zakończeniu aktu do garderoby Brodackiego rozdygotany dyrygent i krzyczy:

- Panie Brodacki, co pan do diabła wyprawia! Jak może tak śpiewać?!

A na to Brodacki odpowiada ze stoickim spokojem:

- Panie dyrektorze, czy naprawdę nie ma pan poważniejszych zmartwień?

Dorothy Kirsten, amerykański sopran, urodzona w 1917 roku, nim została śpiewaczką pracowała jako telefonistka. W wolnych chwilach, kiedy nie było rozmów, nie zdejmując słuchawek wyśpiewywała swoje ulubione arie i piosenki. Usłyszała ją pewnego dnia, w trakcie zamawiania rozmowy międzymiastowej, wielka śpiewaczka amerykańska Grace Moore, która namówiła telefonistkę do podjęcia studiów wokalnych i nawet te studia sfinansowała. Co więcej w roku 1940, kiedy Dorothy miała 23 lata, zorganizowała jej debiut w Operze w Chicago. Od tego czasu Dorothy Kirsten zapytywana, co trzeba uczynić, żeby zostać śpiewaczką operową, niezmiennie odpowiadała: „Po prostu podjąć pracę na poczcie jako telefonistka!”

Tradycja

Opowiadanie z książki „Powieści i opowiadania teatralne”, Polihymnia, Lublin 2014.

Przez głośniki słychać było jak chór rozgrzewa się przed spektaklem i ćwiczy swoją pokazową pieśń ze „Skrzypka na dachu”. - Tradycja! Tradycja! - niosło się po garderobie. Aktorzy skupieni na charakteryzacji swoich twarzy po raz ostatni przygotowywali się do spektaklu przez świętami Bożego Narodzenia. Kiedy śpiewy ustały i nastąpiła cisza odezwał się Waldemar – najstarszy aktor pamiętający wczesne czasy powojenne.

- Nie rozumiem tej przerwy świątecznej. Jak można zamykać teatr na dwa tygodnie z powodu świąt? Teatr jest po to, żeby grał. Pamiętam lata, kiedy po Wigilii siadałem do pociągu, żeby zdążyć na poranne przedstawienie w pierwszy dzień świąt. Rano i wieczorem sala była nabita.

Ale to było wbrew tradycji – wtrącił się aktor grający w sztuce Mleczarza. Ten dzień jest świętem rodzinnym i wtedy powinno się siedzieć w domu. My aktorzy też jesteśmy obywatelami i mamy też prawo do kultywowania tradycji. Bo tradycja – tu artysta odsunął się od lustra, co było znakiem, że zacznie pouczać kolegów – jest tym, co wiąże społeczeństwo. Naród bez tradycji przestaje istnieć. Zresztą, co ja wam będę mówił: codziennie gramy „Skrzypka na dachu”, więc wiecie, co jest tym lepkiem wiążącym społeczeństwo. TRADYCJA! Za dwa dni Wigilia, więc jak z niej zrezygnować? Tradycja to pachnąca choinka i święty Mikołaj z prezentami, o północy Pasterka w kościele, jak również dzielenie się opłatkiem, trzynastka potraw na stole i talerz czekający na bezdomnego podróżnego. A propos – tu coś sobie przypomniał, bo zwrócił się do siedzącego obok aktora Michała Bursztynowicza, grającego w sztuce studenta. - Będziesz u nas jak co roku na Wigilii?

- Żałuję, ale niestety nie! Wyjeżdżam w tym roku w góry!

- To żałuj! Jedno wzruszenie będziesz miał mniej w życiu! A kolega? - to pytanie było zwrócone do najmłodszego aktora przezywanego z racji swojego charakteru Hamletem – gdzie spędza świąta?

- Nie uznaję świąt. Jakoś je przeżyje, czytając zaległe książki.

Tu nastąpiła pauza wypełniona komunikatem inspijenta, że za pięć minut rozpoczyna się przedstawienie.

- Ty na pewno nie chcesz przyjść na Wigilię do nas? - zapytał aktor kreujący Tewiego, kiedy wychodził z garderoby.



- Na pewno! Zresztą nie jadę sam!

- Acha ! Rozumiem. Ale pamiętaj Michale, że wolny talerz, jak nakazuje tradycja, będzie na ciebie czekał.

Nazwany Michałem jeszcze raz podziękował za zaproszenie i skierował się na scenę.

To, że ma jechać w góry z towarzyszącą mu osobą – kobietą – jak się domyślał zapraszający go kolega – było nieprawdą. Michał podobnie jak w poprzednich dwóch latach i tym razem chciał skorzystać z zaproszenia spędzenia Wigilii w zaprzyjaźnionej i tradycyjnej rodzinie, ale szykował niespodziankę. Postanowił zjawić się w tym roku na Wigilii w przebraniu żebraka i dopiero, kiedy go zaproszą do stołu, ujawnić się wzbudzając sensację. Rok wcześniej był świętym Mikołajem, a teraz wymyślił sobie żebraka.

Umówił się z garderobianym, że wypożyczy kostium żebraka, w którym grał w spektaklu inny kolega i zwróci przebranie zaraz po świątach. Wprawdzie garderobiany powoływał się na zakaz wypożyczania ubiorów, które biorą udział w bieżącym przedstawieniu, ale jakoś go przekonał. Natomiast łatwiej poszło mu z fryzjerkami. Perukę i zarosty otrzymał z innej sztuki, aktualnie nie grającej. Wszystkie te akcesoria wyniósł z teatru w tajemnicy przed kolegami zaraz po ostatniej kurtynie, w dostarczonej wcześniej walizce.

Ostatni dzień przed Wigilią poświęcił na kupowanie prezentów dla dzieci domowników i drobiazgów dla gospodarzy. Starał się jak najmniej pokazywać w mieście, bo zgodnie ze swoją wcześniejszą zapowiedzią był od kilku-

nastu godzin w Zakopanem. Kilkakrotnie przebierał się w pożyczony kostium i patrząc w lustro, stwierdzał, że przy tej charakterystyce na pewno nikt go w pierwszej chwili nie rozpozna. Postanowił zagrać rolę w milczeniu, bo każdy z domowników znający jego głos mógłby go łatwo zidentyfikować.

Bawił go ten pomysł z maskaradą. Już „oczami duszy” widział zaskoczenie nie tylko dzieci, ale też kolegi i dorosłych domowników.

- Będzie o czym opowiadać na pierwszym przedstawieniu po świętach – chichotał, ciesząc się z przygotowanego żartu.

Nie spodziewał się, że przygotowany dowcip aż tak go zaabsorbuje. Tej nocy spał marnie, a przebudzony wracał myślami do czekającego go wigilijnego wieczoru. Od rana bez przerwy spoglądał na zegarek, nie mogąc doczekać się zmierzchu. Wiedział, że dokładnie o dziewiętnastej rodzina przyjaciela zasiada do stołu. Taka była w tym domu tradycja. Miał więc szansę trafić na odpowiedni moment. Już dwie godziny wcześniej był przygotowany do wyjścia. Jeszcze raz z przyjemnością sprawdził w lustrze swój wygląd i stwierdził, że rodzona matka – gdyby żyła – w tym przebraniu nie poznałaby go.

Grudzień tego roku był bardzo mroźny i po „Barbarze na wodzie” sypnął obficie śniegiem. Ostatni mieszkańcy śpieszyli się do domów, wypełniając chrzęstem butów nadchodzącą ciszę wigilijnego wieczoru.

- Jest ponad dziesięć stopni mrozu – stwierdził, otulając się szczelnie teatralnym chałtatem. – Jeszcze trochę, a uwierzę, że jestem prawdziwym żebrakiem. Wyszedł przed czasem i zauważył, że idzie zbyt szybko, zwolnił więc kroku, nie zważając na zaczynające dokucać mu zimno.

Rodziny dom kolegi był niedaleko. Jeszcze dwa razy musiał okrążyć skupisko bloków i dopiero wtedy, kiedy wskazówki zegara zbliżyły się do godziny dziewiętnastej, wszedł do windy. Przed drzwiami mieszkania wziął kilka głębokich wdechów i nacisnął dzwonek. Nie był pewny, ale wydawało mu się, że po chwili rozpoznaje głos kolegi, który mówi: - Kogo tam diabli niosą? - Ten komentarz jeszcze bardziej go podniecił, bo zapowiadał większe zaskoczenie.

Na korytarzu panował półmrok, bo widocznie komuś była potrzebna żarówka oświetlająca tę część piętra. To upewniło go, że nie będzie w pierwszej chwili rozpoznany. Więc uspokojony, kiedy drzwi się uchyliły, zdjął czapkę i stanął w pozycji proszącego o wsparcie. W szparze ukazało się dwoje dzieci spodziewających się

raczej świętego Mikołaja, nie żebrzącego oberwańca. - Mamo! Jakiś żebrak przyszedł! - usłyszał meldunek dzieci. W głębi mieszkania zobaczył zapaloną choinkę i czekającą na domowników przygotowaną wigilijną stół.

- Może go zaprosimy? Jest przecież wolne nakrycie – zaproponowała pani domu, którą poznał po głosie.

- Czyś ty oszalała? Obcego do domu? Może to jakiś złodziej albo bandyta. Całą wigilię nam zepsuje. Ty masz zawsze dziwne pomysły – skomentował propozycję żony gospodarz. - Włóż mu do kartonu trochę jedzenia, żeby w ten święty wieczór nie umarł z głodu i życz mu wesołych świąt.

Tu nastąpiła chwila ciszy, po czym dwoje dzieci podało mu przez próg karton wypełniony jedzeniem.

- Wesołych świąt! - krzyknęły razem i zamknęły drzwi.

Był zaskoczony. Nie spodziewał się takiego scenariusza. Chciał w pierwszej chwili zadzwonić do drzwi i zdekonspirować się, ale zrezygnował z tego pomysłu. Reklamówkę z prezentami dla domowników powiesił na klamce, nacisnął guzik dzwonka i szybko wszedł do czekającej na niego windy.

Kiedy wyszedł z bloku zaczął się histerycznie śmiać:

- Dobrze mi tak. Alem sobie urządził Wigilię.

Przykrość spędzenia tego wieczoru w samotności osładzało myśl o widoku miny kolegi, który za parę dni w obecności całej garderoby dowie się o tym wydarzeniu!

Ulice miasteczka z minuty na minutę pustoszały. Kiedy skręcił w jedną z nich, prowadzącą do jego domu, zauważył samotnego mężczyznę stojącego przed oświetloną rzęsiście witryną sklepu. Zdążył już zdjąć perukę i zerwać z twarzy zarost i jedynie kostium przypominał, że jest w przebraniu. Kiedy przechodził obok wystawy rozpoznał kolegę z garderoby przezywanego Hamletem.

- Co pan tu robi o tej godzinie? - zapytał, jak gdyby jego obecność w tym miejscu i w stroju żebraka była usprawiedliwiona.

- Wyszedłem na spacer przed snem. Rzadko się zdarza, żeby zobaczyć puste miasto w tak pięknej zimowej scenarii. Ale pan? Czyżby jakaś ciekawa chałtura się panu w ten wieczór trafiła?

- Opowiem o tym w odpowiednim czasie. Ale widzę, że trafił się nam obu wieczór w samotności. Dlatego zapraszam pana do siebie na herbatę. Chyba mi pan nie odmówi? Jak pan widzi mam w tym kartonie coś do jedzenia, więc z głodu nie zginiemy. Zgoda?

- W wigilijny wieczór się nikomu nie odmawia. Taka to tradycja.

- No to idziemy. Mieszkam w pobliżu.

Kiedy przygotowywał w kuchni herbatę i rozpakowywał karton z jedzeniem, kolega w pokoju włączył telewizor.

Nadawano program związany z wieczorem wigilijnym. Program się kończył i dotarli do niego jedynie ostatnie słowa lektora, który przypominał, że polskie społeczeństwo słynie z gościnności i tradycji, a jej widomym zna-

kiem jest pozostawienie dla niespodziewanego przybysza jednego nakrycia na świątecznym stole.

Piotr A. Czyż

Od wojny do wojny

Wystawa zatytułowana „Od wojny do wojny. Włodawa i okolice w latach 1914–1945” prezentowana w budynku administracyjnym włodawskiego muzeum została otwarta podczas XV Festiwalu Trzech Kultur. Na wystawie są prezentowane zdjęcia naszego miasta, ukazujące lekki urywek historii w okresie I połowy XX wieku, począwszy od działań wojennych lat 1914–1918 poprzez okres międzywojenny, aż po okres okupacji.

Niejednokrotnie oglądając zdjęcia w swoich albumach, możemy zobaczyć parę coraz to nowszych szczegółów, ale na prezentowanych na wystawie zdjęciach, zobaczyć można nie tylko życie naszego społeczeństwa, ale również nieistniejące już budynki. Dodatkiem jest pokazanie planów obiektów na terenie miasta, np. stadion sportowy czy młyn Samuela Lembergera i Teofila Zalewskiego.

Na zdjęciach prezentowane są okolice Włodawy, chociażby poprzez ukazanie pałacu Zamoyskich w Różance, siedziby włodawskiej gałęzi znamienitego rodu Zamoyskich. Pałac zbudowany najprawdopodobniej w latach 1701–1713. Pałac zatem Różaniecki wzniesiony przez Piotra Wielkiego nad wysokim brzegiem Bugu liczył swej egzystencji 202 lata, jak można odczytać w wypisie z pamiętnika hr. Tomasza Zamoyskiego, dziedzica dóbr Jabłoń. Pałac został zniszczony podczas ostrzału artyleryjskiego przez wojska carskie w sierpniu 1915 roku. Dalej na zdjęciach można zobaczyć koszary, a przede wszystkim zdjęcia związane z pobytom 9 Pułku Artylerii Ciężkiej we Włodawie. Wystawę można oglądać w budynku administracyjnym Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego.

Fotografie: Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego



Wspomnienie o profesorze

Zbigniewie Sierpińskim z okazji 30-lecia

Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Włodawskiej



Jako młody chłopiec przeżył okrutny okres okupacji niemieckiej, w czasie której stracił ojca. We Włodawie zdał maturę, ożenił się, tu narodziły się też jego dzieci i tu spoczywa na miejscowym cmentarzu. Włodawa więc była jego najważniejszym światem.

Przemijający szybko czas wymierzył trzydzieści lat Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Włodawskiej. A to więcej jak ćwierć wieku! To piękny jubileusz. Upływający czas zmienia wszystko na niekorzyść, niekiedy tylko obdarowuje nas jakimś darem, kiedy leczy rany i inne dolegliwości. Nade wszystko jednak niszczy i pochłania rzeczy i ludzi. Towarzystwu Przyjaciół Ziemi Włodawskiej zabrakło już 90 osób. Wielką pociechą w tym smutku jest wiara, że śmierć jest tylko drugą stroną życia. Szukamy też i innych pocieszeń, którymi są różne dokonania naszych Przyjaciół, nie podlegające temu zwycięskiemu czasowi. Czas nie jest również zdolny zniszczyć naszej pamięci. Z okazji więc tej pięknej rocznicy łączymy się z naszymi Nieobecnymi wdzięczną pamięcią, serdeczną myślą i przyjaznym wspomnieniem. W tej serdecznej atmosferze pamięci pragniemy podziękować za to wszystko, co zostawili po sobie dzięki swoim talentom umysłu, oddanym sercom i wielkiej pracowitości. A osiągnięć i dokonań było sporo w wielu dziedzinach - naukowej, językoznawczej, artystycznej, społecznej i organizacyjno-administracyjnej. Dziękujemy także tym, którzy nie wyróżniając się wielkimi dokonaniem - służyli dobrze swoją skromną pracą miastu i jego mieszkańcom.

Przy sposobności tej wyjątkowej okazji trzydziestej rocznicy pragnę poświęcić wspomnienie naszemu szkolnemu koledze, jednemu z założycieli Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Włodawskiej, a także osobie bardzo silnie związanej od dzieciństwa z Włodawą - Zbigniewowi Sierpińskiemu.

W roku 1951 Zbigniew Sierpiński ukończył studia na Wydziale Leśnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, uzyskując stopień inżyniera leśnika i magistra nauk agrotechnicznych. Pracował w Instytucie Badawczym Leśnictwa w Zakładzie Ochrony Lasu. Tam zdobywał kolejno wszystkie stanowiska, stopnie i tytuły naukowe - od asystenta do stanowiska kierownika Pracowni Prognoz i Diagnoz, z tytułem doktora habilitowanego nauk leśnych oraz profesora nadzwyczajnego



fot. Zbigniew Sierpiński. Zdjęcie z albumu rodzinnego

w 1974 roku. Zbigniew Sierpiński był zasłużonym leśnikiem i bardzo pracowitym naukowcem. Jego wielką pasją była praca badawcza i w tej dziedzinie wykazywał wielką aktywność. Kochał las i jemu poświęcał wszystkie swoje siły i czas. Był jego przyjacielem, lekarzem, obrońcą, znał dobrze jego choroby, bóle i potrzeby. Dorobek jego 35-letniej pracy jest bogaty. Składa się nań 200 publikacji, a do nich wchodzi liczne rozprawy, monografie, artykuły naukowe, podręczniki, ekspertyzy oraz różne oceny i sprawozdania. Sierpiński jako profesor utrzymywał kontakty naukowe z piętnastoma uczelniami w kraju i ponad dwudziestoma za granicą. Obok aktywnej pracy zawodowej pełnił wiele funkcji społecznych w instytucjach i towarzystwach naukowych, takich jak: Komitet Nauk Leśnych, Komitet Ochrony Leśnej, Polska Akademia Nauk, Rada Naukowa Instytutu Badawczego Leśnictwa. Był też

międzynarodowym koordynatorem badań w zakresie ochrony lasu. Praca jego była wysoko oceniana, o czym świadczą liczne odznaczenia i wyróżnienia – od Krzyża Kawalerskiego Odrodzenia Polski poprzez Złoty Krzyż Zasługi do licznych odznaczeń i medali.

Pomimo ogromnego wkładu energii i czasu w pracę zawodową i naukową kolega nasz znalazł chęci i czas na pisanie wspomnień z okresu okupacji. Pragnął mieszkańcom naszego miasta zostawić część jego historii oraz utrwalić pamięć o odwadze, patriotyzmie i męczeństwie ludzi. Należy też wspomnieć, że Zbigniew należał do konspiracji i jako 14-letni chłopiec zdobywał szlify radiotelegrafisty. Przełożeni, znający warunki domowe jego życia, chronili go od przesunięcia na teren leśnych dział. W pracowitym życiu Zbigniewa znalazło się jeszcze miejsce na osobiste zamiłowania i pasje, a były to numizmatyka, filatelistyka, a także gromadzenie listów, kart pocztowych i fotografii nadsyłanych przez żołnierzy, oficerów i więźniów polskich z różnych obozów jenieckich i koncentracyjnych w czasie II wojny światowej. Bogate zbiory były eksponowane na około czterdziestu wystawach w kraju i za granicą. Były też nagradzane złotymi medalami i licznymi dyplomami. Obok wizerunku naukowca,

profesora, badacza i kolekcjonera należy zwrócić uwagę na Zbigniewa jako człowieka. Znali go niemal wszyscy we Włodawie, a nie unikał nigdy ludzi, przeciwnie – dążył do nich, nawiązywał kontakty, interesował się losami znajomych, odszukiwał tych, którzy po wojnie zniknęli z terenu miasta. Był człowiekiem życzliwym, serdecznym, bezpośrednim, uczynnym, pogodnym i skromnym. Lubił spotkania towarzyskie, na których się śpiewało (miał bardzo ładny głos) i wspominało. Nic więc dziwnego, że budził szacunek i uznanie. Mieszkańcy Włodawy docenili wartości i talenty Zbigniewa, czego dowodem jest nadanie jego imieniem jednej z ulic miasta.

Zbigniew Sierpiński - nasz bliski, dobry kolega, prawy i mądry człowiek, pracowity naukowiec i dobry Polak odszedł od nas nagle i nieoczekiwanie 15 marca 1985 roku w wieku 58 lat. Ostatnia droga z Warszawy do Włodawy odbyła się 17 marca w gęstym śniegu i niepogodzie. Następnego dnia był pogrzeb. Tak więc zatoczony krąg życia zaczął się i skończył się we Włodawie.

Wspomnienie zakończę refleksją z wiersza Ryszarda Kapuścińskiego, która brzmi „Nie umiera ten, kto stworzył swój świat”. Myśl tę można odnieść do życia Zbyszka, który stworzył swój niejeden świat.

Justyna Torbicz

„Wyryki.

Śladem zapomnianych pieśni”



W Wyrykach w ostatnim roku dużo działo się wokół lokalnej muzyki. Wszystko za sprawą Stowarzyszenia Aktywności Obywatelskiej „Koalicja Kulturalna” i działającego przy Stowarzyszeniu zespołu śpiewaczego „Swańki”.

W czerwcu dzięki dofinansowaniu z Unii Europejskiej w ramach PROW na lata 2007-2013 Oś 4 Leader z zakresu małych projektów w ramach działania 413 „Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju” stowarzyszenie realizowało projekt zatytułowany „Wyryki. Śladem zapomnianych pieśni”. Projekt obejmował wydanie publikacji książkowej pod tym samym tytułem, rekonstrukcję wybranych elementów stroju ludowego oraz rozbudowę strony internetowej www.wyryki.com.pl o artykuły dotyczące tradycyjnych obrzędów.

Publikacja „Wyryki. Śladem zapomnianych pieśni” to zbiór ponad osiemdziesięciu pieśni śpiewanych w Wyry-

kach przed wieloma laty, zapomnianych, odnalezionych i wyśpiewywanych na nowo przez zespół śpiewaczy Swańki. Publikacja to także źródło wiedzy i inspiracji dla osób zafascynowanych kulturą ludową wschodniego pogranicza, chcących poznawać i kultywować lokalne tradycje. W końcu ta publikacja to teksty pobudzające wyobraźnię i uwrażliwiające zmysły, by poczuć zapach chleba, delikatność kaliny, czy dostrzec urodę wyryckiej dziewczyny, teksty wzbudzające tęsknotę za tym, co minęło.

Dzięki uzyskanemu przez Stowarzyszenie Koalicja Kulturalna dofinansowaniu możliwa była rekonstrukcja elementów stroju ludowego, a dokładnie koszul. W ostatni weekend czerwca zespół „Swańki” w kompletnych strojach mógł reprezentować województwo lubelskie i powiat włodawski na 48. Ogólnopolskim Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu, gdzie zdobył II nagrodę w kategorii folkloru rekonstruowanego.



Sam zespół „Swańki” jest amatorską grupą śpiewaczą, która z wielką pasją rozgłasza wartości, płynące z kultury ludowej

poleskiej wsi. Zespół śpiewa różne pieśni, ale w jego repertuarze przeważają typowo wyryckie, między innymi te, które są opisane w publikacji. Swoimi występami zespół stara się zwrócić szczególną uwagę odbiorców na mądrość zawartą w tekstach. Świadom tego, że nie można spoczywać na laurach we wrześniu i październiku zespół w ramach dofinansowania uzyskanego ze środków Programu Funduszu Inicjatyw Obywatelskich za pośrednictwem Fundacji Fundusz Lokalny Ziemi Biłgorajskiej realizował warsztaty śpiewacze zatytułowane „Wokół wyryckich pieśni”. Efektem pracy warsztatowej jest debiutancka płyta zespołu. Działania podejmowane przez Stowarzyszenie Aktywności Obywatelskiej „Koalicja Kulturalna” w Wyrykach mają na celu kultywowanie lokalnych tradycji i kultury. Istnienie książki i płyty, zawierających treści typowe dla miejscowości Wyryki, mają za zadanie promować wartość niematerialnego dziedzictwa kulturowego wsi, a zespół „Swańki” staje się rozpoznawalnym symbolem miejscowości.

Marta Ładak

Recenzja książki „Hanna. Poemat na tle powstania z 1863 r.” Guldensterna



Książka zatytułowana „Hanna. Poemat na tle powstania z 1863 r.”

Guldensterna została po raz pierwszy wydana w 1890 roku w krakowskiej drukarni Wacława Anczyca pod zarządem Jana Gadowskiego.

Pierwodruk z 1890 nie stał się przedmiotem badań literaturoznawców i edytorów tekstu, ponieważ zaginął w sposób zagadkowy.

Nie zdołał nawet dotrzeć do czytelników.

Jako dzieło nieodkryte funkcjonowało przez niemal 113 lat. Książka ukazała się dopiero na początku XXI wieku jako reprint. Poemat został wydany w 2003 roku. To wydanie zostało zrealizowane także w Krakowie, ale już nakładem firmy Renowator Jana Płonki. Przygotowaniem wydania do druku, projektem okładki oraz autorem posłowia jest wspomniany Jan Płonka. Warto zwrócić szczególną uwagę na okładkę dzieła, na której znajduje się reprodukcja obrazu „Słuchajcie dzieci” Artura Grottgera. Rysunek przedstawia hr. Jana Stadnickiego, weterana powstania styczniowego oraz zapatrzone w niego i zasłuchane dzieci. Na okoliczność obchodów 150 rocznicy powstania styczniowego w 2013 roku poemat „Hanna” został opublikowany przez Jagiellońską Bibliotekę Cyfrową.

Autorem poematu jest pisarz, kryjący się pod pseudonimem Guldenstern. Jan Płonka, krakowski badacz dzieła, twierdzi, że twórcą utworu jest Henryk Sienkiewicz, który wówczas napisał tę książkę pod pseudonimem Guldenstern. Przyglądając się uważnie treści poematu, stwierdzić należy, że istnieje wiele przesłanek, wskazujących na to, że twórcą dzieła „Hanna. Poemat na tle powstania z 1863 r.” mógł być pierwszy noblista w dziedzinie literatury. Badacz analizuje tekst, prowadzi kwerendy źródeł i opracowań, poszukując śladów wydarzeń biograficznych Sienkiewicza i jego związku z tajemniczym Guldensternem. Ponadto rozszyfrowuje pseudonim Guldenstern, opierając się na historii sztuki i heraldyce. Uzasadnienia w mianowaniu Sienkiewicza autorem poematu „Hanna” należy

poszukiwać w działalności cenzury politycznej w zaborze austriackim. Nie bez znaczenia jawi się tutaj hipoteza, iż dzieło o treści patriotycznej na tle powstania styczniowego, by mogło zostać wydane musiało spełniać warunki cenzury. Często jednak pisarze stosowali metody, mające na celu uspienie czujności cenzury, by dzieło zostało wydrukowane i mogło trafić do czytelnika oraz spełniać rolę zagrzewania do walki i pokrzepiać serca. Z pewnością w dziele zostały odzwierciedlone nastroje związane z powstaniem styczniowym, do czego odwołanie znajduje się w podtytule. Ogromne znaczenie w interpretacji może mieć fakt, iż wydarzenia z 1863 roku, a więc wielki zryw Polaków w walce o odzyskanie niepodległości zostały tutaj opisane z patriotycznym duchem walki o wolność ojczyzny. Kolejną hipotezą badawczą, którą stawia Płonka jest przypuszczenie, iż poemat jest osobistym pamiętnikiem poetyckim Sienkiewicza, powstałym pod wyraźnym wpływem powstania styczniowego. Refleksje autora na temat powstania z roku 1863 świadczą według badacza o tym, że brał on udział w tym wydarzeniu. Praca nad pisaniem utworu mogła rozpocząć się niebawem po wydarzeniach roku 1863. Dzieło zostało ostatecznie zakończone w 1890 roku. Należy szczególną uwagę poświęcić analizie formy poematu, zawartego w dwunastu pieśniach. „Hanna” napisana w formie wiersza, regularnym 13-zgłoskowcem została ujęta w ramy gawędy szlacheckiej i wyraźnie naśladuje epopeję narodową „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza. Należy przypomnieć fakt sprowadzenia prochów Mickiewicza na Wawel w 1890 roku. Można więc odczytywać „Hannę” jako swoisty hołd złożony wieszczowi narodowemu. Z pewnością wydanie tego dzieła jest jednocześnie ukoronowaniem gatunku, jakim jest pieśń poetycka. Historia Polski nakreślona jest tutaj językiem poetyckim.

„Hanna. Poemat na tle powstania z 1863 r.” traktuje o przebiegu powstania styczniowego, szczególnie jednak akcja toczy się na polu dwóch bitew. Opisana została potyczka pod Janówką z 11 lipca 1863 roku, zakończona zwycięstwem polskich wojsk oraz bitwa pod Fajslawicami z 24 sierpnia 1863 roku, która przyniosła Polakom klęskę. Wspomnienia zapisane na kartach poematu miały świadczyć o tym, że ich autorem jest Henryk Sienkiewicz, który zdaniem Jana Płonki brał czynny udział w bitwach jako żołnierz. Z pewnością po lekturze „Hanny” stwierdzić można, że poemat został stworzony pod wyraźnym wpływem wydarzeń z 1863 roku i jest on nasycony nastrojowością tamtych czasów, żarliwością walki powstańczej. Można traktować to dzieło jako antycarski manifest patriotyczny. Niezwykle ciekawym wydaje się być przypuszczenie, iż „Hanna” mogła nie zostać przedstawiona cenzurze. Utwór literacki został wydrukowany w drukarni Anczyca w Krakowie i funkcjonując w sposób „nielegalny” nie był rozpoznawany (nie dotarł do czytelników, nie doczekał się

opracowań badaczy), a tym samym nie został wpisany do rejestru publikacji i broszur zakazanych. Należy jednak pamiętać o tym, że publikowanie treści antycarskich w przypadku zdemaskowania wiązało się z zsyłką autora na Sybir. Można więc twierdzić, że sytuacja panująca w kraju zachęciła Sienkiewicza do wydania książki pod pseudonimem Guldenstern.

Ogromne znaczenie w analizie i interpretacji dzieła jest tytuł „Hanna. Poemat na tle powstania z 1863 r.”. Miejscość Hanna została uwieczniona piórem Sienkiewicza nie tylko w tytule, ale również obecna jest na kartach utworu. Nawiązuje do wydarzeń z 11 lipca 1863 roku, kiedy miała miejsce pierwsza, zwycięska bitwa, która rozegrała się w lasach pomiędzy Romanowcem, Sajówką i Janówką. Walka została opisana w dziele „Hanna”. Badacz poematu, Jan Płonka, uzasadnia w postwowie znaczenie tytułu, pisząc: „Właśnie dlatego tytuł *Hanna*, prawdopodobnie pochodzi od miasteczka Hanna, leżącego blisko miejsca bitwy pod Janówką (w odległości zaledwie 5 km)¹”. Historia Hanny związana jest z legendą, która mówi, że „[...] przed wiekami przejeżdżała tędy w drodze na Ruś Anna Jagiellonka lub też żona jednego z Jagiellonów nosząca to imię. W tej właśnie okolicy zepsuła się jej karoca, w związku z tym była zmuszona zatrzymać się tutaj na nocleg: została tak bardzo gościnnie przyjęta, że pozwoliła nazwać miejscowość swoim imieniem. Stąd właśnie, według legendy, bierze się nazwa tej miejscowości...”². Dzieje Hanny znajdują swój początek w XV wieku, choć wzmianki o osadnictwie na tych terenach znajdują odzwierciedlenie w literaturze dużo wcześniej. Obecnie wieś Hanna jest miejscowością nadgraniczną. Graniczy bowiem z Białorusią i niedaleką Ukrainą. Położona jest nad rzeką Bug w powiecie włodawskim województwa lubelskiego.

Dzieło zatytułowane „Hanna. Poemat na tle powstania z 1863 r.” jest nie tylko niezwykłym odkryciem literackim, edytorskim, biograficznym z życia i twórczości Henryka Sienkiewicza, ale również jest to publikacja ukazująca uroklivą miejscowość Hanna oraz jej związki z osobą polskiego noblisty, Henryka Sienkiewicza. Z pewnością na kartach poematu ujęte zostały historyczne bitwy powstańców styczniowych z lat 1863-1864 w okolicy tytułowej Hanny. Dzieło zachęca do prowadzenia przez literaturoznawców badań nad twórczością tajemniczego Guldensterna, pod pseudonimem którego może kryć się Henryk Sienkiewicz. Utwór literacki poświęcony tej miejscowości niewątpliwie przyczynił się nie tylko do odkryć w dziedzinie literatury, ale może wyraźnie wpłynąć na promocję nadbużańskiej wsi.

1 J. Płonka, *Posłowie* [w:] Guldenstern, *Hanna. Poemat na tle powstania z 1863 r.*, Kraków 2003, s. 10.

2 L. Hasiuk, *Hanna i okolice – zarys historyczno-geograficzny*, Siedlce 2003.

Przydomowy skansen



Wchodzę w przestrzeń obszerną, w oddali budynki gospodarskie, pamiętające wiele pór roku, zasiewów i wykopków, tuż przy bramie – nowoczesność. Dzisiejsza wieś, życie przeszłe miesza się z teraźniejszością.

Uhrusk to niewielka wioska w powiecie włodawskim, mająca za sobą wielowiekową historię – już w 1204 roku istniał tu gród. W zapisach kronikarza wołyńskiego Hipacego pod datą 1218 pojawia się kolejna wzmianka; książę halicki Daniel Romanowicz umocnił gród, wznosił wieżę obronną, klasztor i cerkiew. Ustanawiając diecezję uhruską, sprawił, że Uhrusk stał się stolicą księstwa włodzimiersko-halickiego. XIX-wieczny budynek cerkwi zdaje się przypominać o korzeniach prawosławia na tym terenie, podobnie – zabytkowe nagrobki na cmentarzu prawosławnym w Uhrusko-Kobylicach. Ludzie pamiętają.

Wita mnie mężczyzna w średnim wieku, uśmiechnięty. Chętnie prowadzi do miejsca, które jest jego dumą, jak później to odkryję.

Dla odwiedzających to miejsce przygotowano dwa pomieszczenia, w pierwszym - meble i sprzęty kuchenne, w drugim - pokój, choć przepełniony przedmiotami „starodawnymi”, jak mówi ich właściciel. Aż oko cieszy!



Fot. Joanna Szubstarska

W pierwszym zatem na starym żeliwnym piecu dwa sagany, masywne, dziś zupełnie nieużywane, dawniej służyły tutejszym mieszkańcom. Obok ustawione maszynki - do mielenia pieprzu, przygotowywania wędlin, mielenia mięsa, na jednej z nich - wstawione dawniej używane widelce. Kredens z zastawą i dużo starszy od niego wiekiem kufer, ze śladami korników, przykryty narzutką, przywiezioną spod Lwowa. „Mam więcej haftów z Ukrainy, skąd pochodził mój ojciec, a dziś mieszka rodzina. Rodzina przywozła mi obrusy, ręcznie haftowane, w prezencie. Czasem do mnie przyjeżdżają” - opowiada pan Andrzej Jankowski, oprowadzając mnie i pokazując swoje skarby. Niestety nie kryją one w sobie żadnej tajemnicy, nie wiążą się z jakimś szczególnym wydarzeniem, o co próbuję wypytać. Dopiero na zakończenie mojej wizyty pan Andrzej używa słowa tajemnica, podkreślając jednak wyraźnie, że nie może jej ujawnić teraz. Dopiero, gdy napisze wspomnienia - tam będzie i historia jego życia, i jego rodziny, i tego miejsca przepełnionego przedmiotami, które traktuje jednakowo, nie wyróżniając żadnego z nich. Każdy jest cenny. Każdy ma wartość, o której napisze, być może już niedługo, w swoich wspomnieniach.

Przechodzimy do drugiego pomieszczenia, po lewej stronie - łóżko dębowe, jakże stare, po babci. Na nim materiały i okrycia. Nad nim - instrumenty muzyczne i trofea myśliwskie. To od syna. Brat pana Andrzeja także zajmuje się myślistwem. Również gromadzi eksponaty, ale związane z myślistwem, prowadzi księgę rodzinną. Nie uciekają z tego miejsca, umiłowali tę ziemię. Andrzej Jankowski działał na rzecz lokalnej społeczności, przez dwie kadencje był radnym; pokazuje pamiątkowe dyplomy i jeden szczególny, który otrzymał z okazji 800-lecia Uhruska.

Jaka będzie przyszłość tego miejsca? „Przechowuję, czy komuś się przyda, czy nie... Lubię się czymś zająć, gromadzić; kiedy przyjadą wnuki z miasta, z Krakowa, zobaczą. Niedługo na wsi krowy nie będzie, a co mówić o starych przedmiotach...” - mówi pan Andrzej. On wie, do czego służyły i tę wiedzę przekazuje. Miejsce to spełnia niekiedy właśnie taką rolę wspomnieniową, gdy rodzina zbierze się, zabrzmie muzyka.

„Wszystko gromadzę dla siebie, nie rozgłaszam, nie afiszuję się; jest tu skromnie, prowizorycznie. Czasem ktoś tu



Fot. Joanna Szubstarska

zajrzy, np. wycieczka ze szkoły. Ludzie początkowo traktowali moje hobby z uśmiechem, dziś - może ze względów grzecznościowych - jest inny stosunek do tego, co robię. Jest zainteresowanie, ludzie przychodzą oglądać". Skąd pochodzą przedmioty? Po prostu się znajdują, „poczta pantoflowa działa” - mówi pan Andrzej, a to sąsiad coś przyniesie, ktoś z przyjaciół, czasem nabywa przez przypadek, w wyjątkowych sytuacjach zakupuje. Jednak przy zakupach stosuje zasadę, aby było to coś drobnego, niewielkiego. Nie sztuką jest zakupić. Przedmioty ożywają tym bardziej, stają się cenniejsze. „Co napotkam, biorę, aby nie wyrzucić, aby się nie zmarnowało”. Stąd może kilka egzemplarzy zegarków, obok - położony z namaszczeniem bilet pamiątkowy z 1932 roku, wydany przez tutejszą kolej. Obok kredens, zaglądam- jeszcze nie zagospodarowany, jeszcze czeka na swoją kolej. Pod ścianą narzędzia, jakich już się nie używa z pewnością, cepy, nosidła na wodę, magle. I kołowrotki, „są nietypowe, to rzadkość w naszych stronach, tu były inne, z jednym kołem, przędło się nici z lnu”- wyjaśnia pan Andrzej. Rozglądając się wokół siebie, mówi, że jeszcze są wolne kąty, jeszcze można je uzupełnić.

Właściciel skansenu, jak go niekiedy nazywa, w życiu ciężko pracował na roli. Obok budynku stoi pięknie przystrojony kwiatami wóz drabiniasty. Zatrzymujemy się przy nim chwilę. Wygląda okazale, przyozdobiony, jakby stanowił jedną z ważniejszych części tej przestrzeni, dość obszernej, teraz nasłonecznionej. Robię kilka zdjęć. Przechodzimy dalej, za gospodarzem, który śpiesznym krokiem zmierza w kierunku miejsc, na których chyba mu zależy. Są tam budynki drewniane, stajnie dla koni - rozlegają się głosy zwierząt witających gospodarza. Obok - kolejna przybudówka. Wchodzimy do miejsca przepełnionego różnego rodzaju nagromadzonym sprzętem.

Nie najlepiej prezentują się schowane, przytłoczone sanie, które właściciel pokazuje jednak z dumą i uśmiechem - mają piękne zdobienia. Sanie czekają na swoją kolej, na wystawienie na widok publiczny. Wcześniej muszą przejść, jak większość sprzętów, renowację. Teraz nie będzie czasu na ta-

kie zabiegi, bo są żniwa. Podchodzimy do stodoły, tam kilka jakże zużytych, z rdzą, uprzęży konnych, podków, narzędzi do obróbki kopyt końskich. „Wszystko to sprzed dziesiątków lat”- mówi pan Andrzej, prezentując dźwięk janczarów, „różności, wszystkiego złomstwa”- dodaje nie z ubolewaniem, zażenowaniem, ale raczej z ukrywaną radością. Bo przecież można odnowić, będą prezentowały się pięknie.

Anita Lewczuk vel Leoniuk

Festiwal Trzech Kultur ponownie wydarzeniem kulturalnym roku

Festiwal Trzech Kultur organizowany przez Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego ponownie został nagrodzony.

21 października 2014 roku w Teatrze im. Juliusza Osterwy w Lublinie miała miejsce uroczysta **Gala Kultury** Województwa Lubelskiego, podczas której Wojewódzki Ośrodek Kultury w Lublinie uhonorował najwybitniejsze osobistości, instytucje kultury, organizacje pozarządowe, mecenasów kultury i wydarzenia kulturalne w województwie lubelskim. W kategorii **Wydarzenie Kulturalne Roku** w województwie lubelskim nagrodę główną otrzymał **Festiwal Trzech Kultur**. Doceniono także: wydarze-



nie „Kultura Bez Granic” z Terespoli, Ogólnopolskie Święto Chmielarzy i Piwowarów „Chmielaki Krasnostawskie”, XIX Ogólnopolskie Warsztaty Kowalskie w Wojciechowie, wystawę od „Horodła do Horodła” z Muzeum Zamojskiego w Zamościu oraz cykl imprez i przedsięwzięć kulturalnych w ramach obchodów 150. rocznicy wybuchu powstania styczniowego na ziemi białskiej.

Kolejna nagroda cieszy i zobowiązuje. Festiwal Trzech Kultur odznaczony został już:

- nagrodą Honorową Polskiej Organizacji Turystycznej - VI edycji konkursu „Przebiśnięg” - na najciekawszą inicjatywę kreującą nowoczesną ofertę turystyczną w Polsce,
- nagrodą finału V edycji konkursu Fundacji Kultury „Małe ojczyzny - tradycja dla przyszłości”,
- realizacją III Festiwalu Trzech Kultur w ramach programu Lubelskiego Kongresu Kultury Polskiej 2000,

- realizacją VI i VII edycji w ramach Programu „Europejskie Dni Dziedzictwa”,

- dyplomem Honorowym Związku Literatów Polskich,
- dyplomem Honorowym Arcybiskupa Abła,
- dyplomem Honorowym od Państwa Izrael,
- zakwalifikowaniem do grona jednego z dziesięciu najważniejszych wydarzeń roku 2005 na Lubelszczyźnie,
- X edycja Festiwalu jako jedna z trzynastu polskich inicjatyw kulturalno-edukacyjnych wpisana została w obchody Europejskiego Roku Dialogu Międzykulturowego 2008 w Polsce,
- 1 miejscem w konkursie na najlepszy produkt turystyczny Województwa Lubelskiego 2008 roku,
- wyróżnieniem w konkursie Perełka Lubelszczyzny 2008,
- wyróżnienie w konkursie Perełka Lubelszczyzny 2010,
- II miejscem w konkursie Kryształowa Elka 2011 dla najlepszych projektów promujących Lubelszczyznę.

Edyta Pietrzak

Exegi monumentum... Czesława Miłosza



Czesław Miłosz - polski prawnik i dyplomata, poeta, prozaik, eseista, historyk literatury, tłumacz. Urodził się 30 czerwca 1911 roku w Szetejnach na Litwie, jako najstarszy syn Aleksandra Miłosza i Weroniki z Kunatów. Atmosfera białego dworku matki, w którym spędził dzieciństwo, wywarła wpływ zarówno na jego postrzeganie świata, jak i samą twórczość.

Dzieciństwo Czesława Miłosza naznaczone jest licznymi podróżami. Jego ojciec, jako inżynier zaangażowany w budowę mostów i umocnień w różnych strefach przyfrontowych Rosji, często przenosił się, a wraz z nim rodzina.

Szkolną i uniwersytecką młodość spędził Czesław Miłosz w Wilnie. W 1929 roku zdał maturę i rozpoczął studia na Uniwersytecie Stefana Bato-

rego. Początkowo wybrał polonistykę, by już po kilku tygodniach przenieść się na wydział prawa.

Debiutował w 1930 roku wierszami „Kompozycja” i „Podróż” zamieszczonymi w piśmie „Alma Mater Vilnensis”. Natomiast pierwszy tomik poetycki „Poemat o czasie zastygłym” ukazał się w 1933 roku nakładem Koła Polonistów Polskich Stefana Batorego. W 1934 roku wyjeżdża za stypendium Funduszu Kultury Narodowej na rok do Francji, otrzymawszy wcześniej tytuł magistra praw. Po powrocie do kraju, w 1935 roku rozpoczyna pracę w wileńskiej rozgłośni Polskiego Radia. Kiedy w 1939 roku wybuchła wojna, zgłasza się na ochotnika do wojska. Zawrócony z linii frontu trafia do Rumunii, by następnie powrócić na Litwę. Po wkroczeniu do Wilna Armii Czerwonej (1940 r.) Czesław Miłosz przenosi się do Warszawy,

gdzie pracuje jako woźny w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Cztery lata później żeni się z Janiną Dłuską-Cękałską, a już za rok młode małżeństwo przenosi się do Krakowa. Z małżeństwa rodzi się dwoje dzieci: synowie Antoni (ur. 1947) i Piotr (ur. 1951). Po wojnie, w 1946 r. roku wyjeżdża na placówkę dyplomatyczną do Nowego Jorku, aby następnie, jako attache kulturalny, przenieść się do Waszyngtonu. Już w 1950 roku wraca do Europy, gdzie trafia do ambasady w Paryżu. W tym czasie odwiedza kilka razy Polskę. Popada jednak w konflikt z władzą ludową i w 1951 roku zwraca się o azyl polityczny do władz francuskich, tym samym odcinając się od związków z ustrojem panującym w rodzinnym kraju.

W 1953 roku ukazuje się jego książka „Zniewolony umysł” jednocześnie we Francji, Anglii, Kanadzie

i USA, natomiast w 1955 roku wychodzi „Dolina Issy”. W 1960 roku zostaje wykładowcą na Wydziale Literatur i Języków Słowiańskich Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. Piastuje to stanowisko 20 lat, kontynuując też pracę twórczą. W Polsce, w tym czasie, jego twórczość ukazuje się jedynie w drugim obiegu. W 1978 roku otrzymuje tzw. „małego Nobla” - Międzynarodową Nagrodę Literacką Neustadt, co stanowi wróżbę 1980 roku, kiedy to jako pierwszy polski poeta zostaje laureatem Nagrody Nobla. Rok później po raz pierwszy od emigracji odwiedza Polskę. Spotyka się z Lechem Wałęsą i innymi przywódcami Solidarności. Po powrocie do USA otrzymuje katedrę na Uniwersytecie w Cambridge.

W 1986 roku umiera jego żona Janina. Po jej śmierci Czesław Miłosz ponownie odwiedza (1989 r.) Polskę. Podczas tego pobytu otrzymuje doktorat honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W 1991 roku wychodzi zbiór jego wierszy „Dalsze okolice”. Rok później

(1992 r.) żeni się po raz drugi. Jego żoną zostaje Carol Thigpen, doktor nauk historycznych i jednocześnie dziekan na uniwersytecie w Atlancie. Również w tym roku otrzymuje honorowe obywatelstwo Litwy i po raz pierwszy od czasów wojny odwiedza strony dzieciństwa i młodości.

W 1993 roku zostaje Honorowym Obywatelom Krakowa i otrzymuje od władz miasta mieszkanie. Przez kilka lat dzieli czas pomiędzy latem w Polsce, a zimą w USA.

W 1999 roku zaczynają wychodzić wielotomowe „Dzieła wybrane” Czesława Miłosza nakładem Wydawnictwa Literackiego i Znak pod patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

W 2002 roku umiera jego druga żona. W dwa lata później, 14 sierpnia 2004 roku umiera Czesław Miłosz. Zostaje pochowany w Krypcie Zasłużonych w kościele na Skałce w Krakowie.

„Exegi monumentum...”

W sierpniu 2014 roku minęło dziesięć lat od śmierci Czesława Miłosza. Choć

odszedł, żyje nadal w swojej twórczości, dostarczając odbiorcom wrażeń artystycznych, powodów do refleksji i przemyśleń. W jego twórczości przeżywają się zarówno motywy dzieciństwa w białym dworku na Litwie, ale też doświadczenia z czasów wojny i życia na emigracji. Mając do wyboru podporządkowanie się wymogom nałożonym przez władzę ludową, a wolność słowa poza granicami ojczyzny, wybrał to drugie. Dlatego dziś możemy podziwiać dzieła jego twórczości wolne od skreśleń cenzury i wymykające się ograniczeniom, na które skazani byli pisarze pozostający w kraju.

Bibliografia:

Poeci polscy XX wieku. Biogramy – wiersze – komentarze, Warszawa, Morex, 1999.

101 najsławniejszych pisarzy w dziejach Polski i świata, Katowice, Videograf II, 2009.

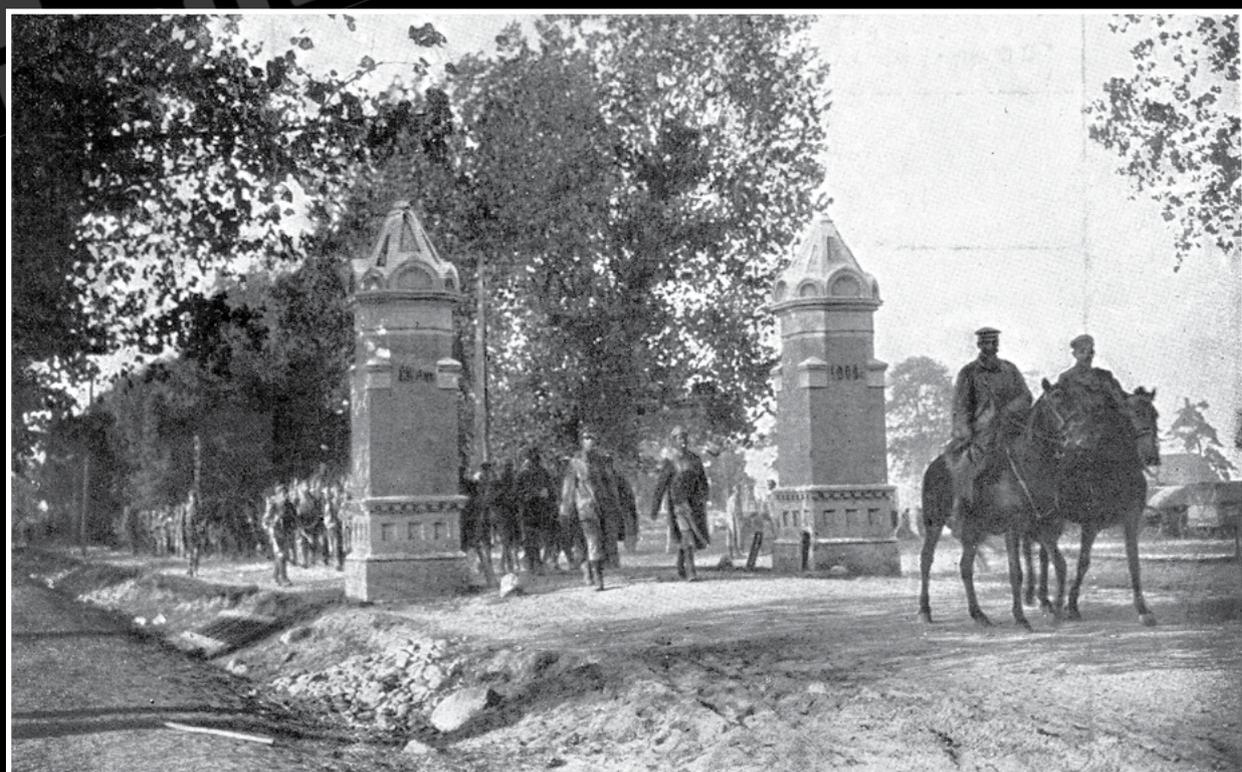
Termer J.: Leksykon poetów dla szkół i miłośników poezji; Warszawa, Iskry, 1997.

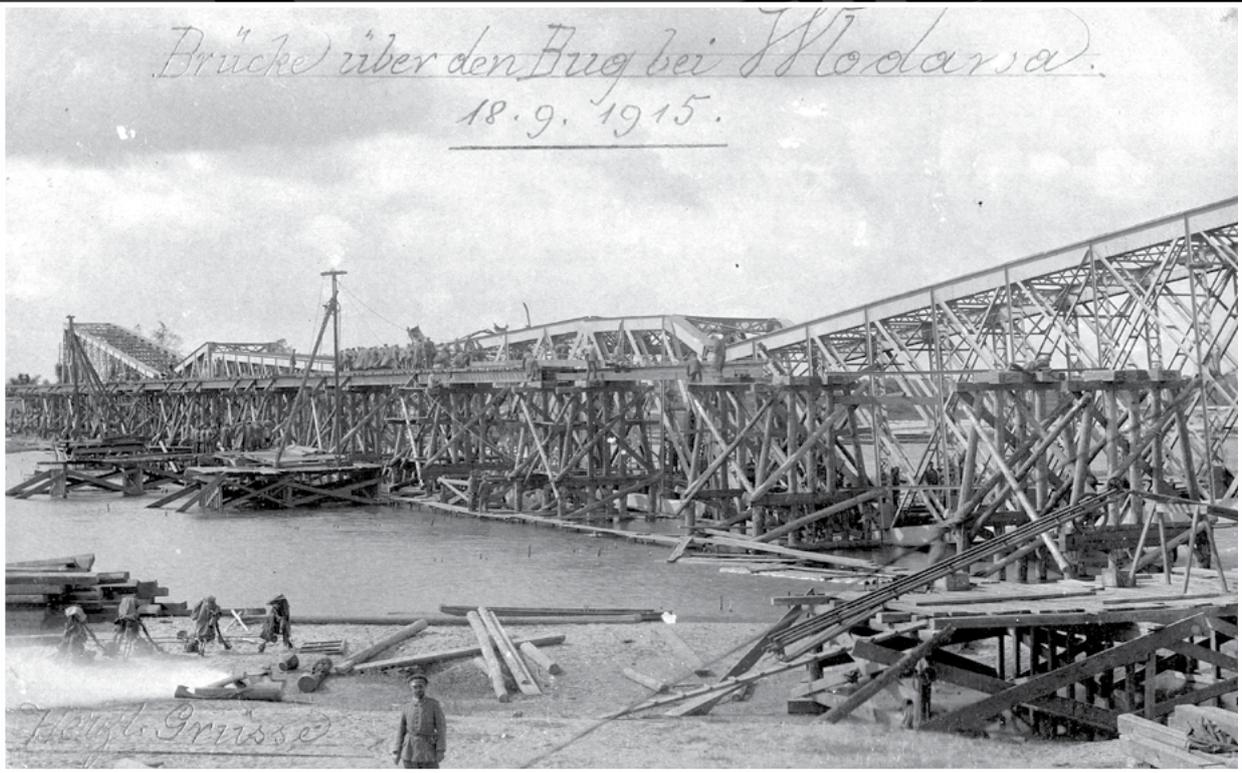
www.milosz.pl



fot. <http://www.nancyellison.com/>

Włodawa w okresie I wojny światowej
na widokówkach
Mieczysława Tokarskiego





Poezja członków lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich w minionym 30-leciu



Słusznie mówi się, że „Lublin poezją stoi”. Poezja w mieście nad Bystrzycą ma swoją bogatą i piękną tradycję. Patronami lubelskich poetów byli i są liczni poprzednicy, a szczególnie Jan Kochanowski i Józef Czechowicz. Każdy wiersz ma tu swoją miarę w odniesieniu do wierszy tych dwóch poetów, a pamiętajmy, że wielu czytelników i entuzjastów znajduje też poezja Józefa Łobodowskiego, Waława Iwaniuka czy Kazimierza Andrzeja Jaworskiego.

Lublin dziś jest miastem pogranicza, to także nie pozostaje obojętne na to, co i o czym się pisze w mieście, które pretenduje do tzw. „Bramy na Wschód”... Przyjmując kryterium dominanty emocjonalno-przedstawieniowej, można usystematyzować obfitą twórczość poetów zorganizowanych w lubelskim oddziale Związku Literatów Polskich przynajmniej w kilku głównych nurtach: Liryka metafizyczno-konfesyjna; Liryka filozoficzno-kulturowa; Krąg liryki osobistej i dylematów moralnych; Tłumaczenia i „liryka pogranicza”; Wiersze dla dzieci.

W gronie członków ZLP lirykę metafizyczno-konfesyjną, ogólnie rozumianą jako lirykę religijną, tworzą przede wszystkim Stanisława Burda, siostra Urszula Michalak, Jolanta Maria Koziej, Sergiusz Riabinin, Edward Cimek i Marian Stanisław Hermaszewski. Marian Hermaszewski jest inicjatorem i redaktorem 30 tomów almanachu poezji religijnej pod tytułem „A Duch wieje, kędy chce...”. W każdym tomie drukuje także swoje wiersze. W 16 tomie z roku 2006 deklaruje poetycką spowiedź:

*A ja Ci powiem
Sędzio Sprawiedliwy -
Zdefraudowałem
i talent
i czas
i miłość...*

(fragment wiersza *** „Siedzimy w poczekalni...”).

Z kolei Stanisława Burda w obszernym wyborze swoich utworów pod tytułem „Ogrody milczenia” (2012) dramatyczne zawirowania ludzkiego losu komentuje słowami:

*Jeśli możesz - przebacz
bo wielkie jest
i niepojęte
Miłosierdzie Twoje!*

(fragment wiersza „Milczący krzyk”).

Należy zauważyć, że język poezji tego nurtu jest najbardziej tradycyjny i odwołuje się do form narracyjno-dialogowych, gdzie nierzadko retoryka i patos znaczą deklaracje i modlitewne uniesienia (czasem ubrane w klasycyzującą strofę z niewyszukanymi rymami).

Krąg liryki filozoficzno-kulturowej ma licznych reprezentantów, ale wśród nich najbardziej aktywni są: Stanisław Popek, Urszula Gierszon, Dominik Opolski, Marian Kawałko, Zofia Nowacja-Wilczek, Marek Danielkiewicz, Krystyna Furtak, Ewa Mazur i Danuta Kurcewicz. Stanisław Popek autor wydanego w 2014 roku obszernego tomu wierszy pt. „W ogrodach Minerwy” podpowiada:

*Trzeba wrócić do źródeł życia
odświeżyć,
oczyścić [...]
Trzeba wydobyć z ukrycia
stare ikony odarte ze złota [...]
Aby pokochać jeszcze raz od nowa
człowieka
nabrać szacunku do Giotta
zrozumieć Tyjcjana
ogarnąć wyobraźnię Michała Anioła [...]
Trzeba szukać w sobie siły
która woła w nas.
Patrzeć, kochać, nienawidzić, słuchać,*

(fragmenty z poematu pt. „W poszukiwaniu wyspy szczęśliwej”)

Język wierszy tego kręgu tematycznego charakteryzują odważne sformułowania i deklaracje, zaskakujące porównania i analogie. Wersety budowane są adekwatnie do sytuacji lirycznej, gdzie dyskurs i polemika wyznaczają formułę wypowiedzi. Mamy tu do czynienia z wierszem wolnym, pełnym swobodnej intonacji, z akcentem nawet na poszczególne wyrazy, które często stanowią równoważnik zdania. Krąg liryki osobistej i dylematów moralnych reprezentują swoją twórczością między innymi: Longin Jan Okoń (autor

także licznych powieści dla młodzieży), Halina Sitarska-Ruzik, Joanna Pąk, Henryk Kozak, Stanisław Andrzej Łukowski, Maria Szczęsna-Jeleniewska, Irena Iwańczyk, Jacek Guz, Alina Jahołkowska, Ryszard Kornacki. Już same tytuły poszczególnych tomów wierszy Ryszarda Kornackiego określają problematykę zainteresowań autora, na przykład: „Szukanie człowieka”, „Puszka Pandory”, „Wszystkie wątpliwości świata” czy „Ciepły dotyk duszy”. Kornacki zauważa:

*Nigdy do końca spokojni,
nigdy do końca spełnieni
umieramy z nadzieją
bliskiego brzegu ocalenia.*

(fragment wiersza „Umieramy od nadziei” z tomu „Dojrzewanie słowa”)

„Brzeg ocalenia” to w rozumieniu Aliny Jahołkowskiej wiara i nadzieja. Ale wiara, która ma „ziemskie korzenie” jest zbyt ulotna, łatwo ją utracić. W wierszu „Mniej – znaczy więcej!” Jahołkowska wyznaje:

*Kiedyś wierzyłam, że zmienię świat
że wszystko zależy ode mnie
nie umiałam myśleć o sobie
[...] nie zdążyłam pokochać
nawet siebie.*

Język wierszy „nurtu moralnego” najbardziej zbliżony jest do mowy codziennej, kolokwialnej narracji, wyznania, szeptu wyrażającego nadzieję. Również metafory i porównania (nieliczne w tych wierszach) graniczą z potocznością języka używanego w codziennej konwersacji.

Lublin przedwojenny i dzisiejszy to miasto, które mentalnie przekracza granicę na Bugu. Wołyń i Ziemia Lubelska zaistniały jednakowo ciekawie w poezji Józefa Czechowicza i choć bardziej znany jest on z „Poematu o mieście Lublinie”, to jednak przez całą twórczość Czechowicza przewija się motyw Wołynia. Warto pamiętać o tym, ponieważ w dzisiejszym środowisku literackim Lublina żywe są kontakty literackie ze wschodnim sąsiadem. Przede wszystkim mają one wyraz we wzajemnych tłumaczeniach poezji. Członek lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich Tadeusz Karabowicz należy do grona najbardziej aktywnych tłumaczy współczesnej poezji ukraińskiej na język polski. Lubelski kwartalnik „Akcent” opublikował kilka numerów tematycznych poświęconych literaturze ukraińskiej, a tom pt. „Czytanie Ukrainy” (nr 3 z 2000 roku) z tłumaczeniami wierszy ukraińskich poetów przez Bohdana Zadurę stał się wydarzeniem literackim, także na Ukrainie. Władysław Sitkowski w licznych swoich tomikach pamięta o rodzinnym Wołyniu. Wśród kandydatów do Związku Literatów Polskich są poetki Irena Ciesielska-Piech (autorka m.in. tomu wierszy pt. „Nostalgia kresowa”, wydanie drugie z 2014 roku) oraz Krystyna Igras (autorka m.in. tomiku pt. „Kresowy list” – 2013).

Obydwie autorki mają w swym dorobku twórczym liczne wiersze nawiązujące do polskiej historii i tradycji kultury kresowej. Są laureatkami wielu nagród i wyróżnień w konkursach poświęconych problematyce pogranicza. Także twórczość poetycką

Waldemara Michalskiego w dużej mierze wyznacza tradycja „wiersza wołyńskiego”. Pochodzi z Włodzimierza Wołyńskiego i bywa na Wołyniu na spotkaniach literackich. Można zacytować fragment jego wiersza, który określa postawę emocjonalną nie tylko poetów w stosunku do ziemi „zawsze sercu bliskiej”:

*Wołyń przez sen
grzechów nie pamięta
od miłości nie ucieka
do ogrodu zaprasza
wzywa świętych na pojednanie –
każe wracać
na kolanach.*

(fragment wiersza „Wołyń przez sen” z tomu „Lekcja wspólnego języka”).

Ciekawy rozdział w życiu literackim Lublina stanowią tłumaczenia książek poetyckich miejscowych autorów na inne języki obce, m.in. angielski, niemiecki, ukraiński i ... rumuński. Przygoda z tłumaczeniami rumuńskimi zaczęła się przed kilku laty za sprawą rumuńskiego polonofila i tłumacza Aleksandra Szerbana (z rumuńskiego miasta Jassy - miasta partnerskiego Lublina). Szerban przetłumaczył i wydał w Rumunii książki poetyckie m.in. członków lubelskiego oddziału ZLP: Aliny Jahołkowskiej, Henryka Kozaka, Stanisława Popka, Ryszarda Kornackiego i Waldemara Michalskiego. Wszystkie one miały promocje z udziałem tłumacza w Wojewódzkiej Bibliotece im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.

Sztuka pisania wierszy dla dzieci wymaga nie tylko ogromnego talentu, ale także znajomości psychologii dziecka. Osiągnęli ten kunszt: Wojciech Próchniewicz (niestety przedwcześnie zmarły w 2011 roku), Arkadiusz Saan (autor książeczki pt. „Przygody szaraczka filozofka” z ilustracjami Kamila Jabłońskiego - 2005) oraz kandydaci do ZLP - Alicja Barton i Zygmunt Miszczak. Książka Miszczaka pt. „Kup mi, mammo, gwiazdkę z nieba” (2013) to dziewiętnaście, często humorystycznych wierszy dla dzieci, z których każdy opatrzony jest ilustracją Agnieszki Wójtowicz. Zawierają elementy moralizatorskie. Pod względem formalnym styl tych wierszy nawiązuje do stylu poezji dla dzieci Juliana Tuwima, chociaż autor bierze sobie także za wzór poczucie humoru, właściwe poezji Jana Brzechwy. Wojciech Próchniewicz opublikował ponad 40 poetyckich książeczek (nie licząc opowiadań i legend). Jego ulubionym tematem wierszy dla dzieci były instrumenty muzyczne (sam był przez kilka lat operowym śpiewakiem). Jednak największym sukcesem był serial

televizyjny dla dzieci pt. „Parauszek i przyjaciele”, zrealizowany już po śmierci autora w 2013 roku przez wytwórnę filmów animowanych „Se-ma-for” w Łodzi. Film o zajączku Parauszku w 26 odcinkach został zakupiony przez wiele europejskich i azjatyckich stacji telewizyjnych. Pani Alicja Barton, zasłynęła ostatnio jak wolontariuszka, czytająca wiersze dla chorych dzieci, przebywających w lubelskich szpitalach. Jej pięknie edytorsko zrealizowana książka pt. „Bajki” z ilustracjami Emilii Rumińskiej stały się lekturą, czytaną na „dobranoc” niejednemu dziecku. Chomik, kaczuszek, niedźwiadek i sowa finalizują każdą opowieść ciekawą pointą, a sowa wręcz zachęca:

*Mądrzejszy będziesz po szkole.
Ja rozmawiać z takimi wolę.
Wszystko skrętnie zapisała
i do dziupli się schowała.*

Lubelskie środowisko literackie należy do najbardziej twórczych w kraju. Jeśli się uwzględni fakt, że oprócz lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich istnieje tu także oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a wśród jego członków są m.in. poeci: Zbigniew Fronczek, Elżbieta Cichła-Czarniawska, Eda Ostrowska, Zbigniew Strzałkowski, Józef Fert, ks. Alfred Wierzbicki, Zbigniew Dmitroca, Józef Zięba, że istnieje grupa autorów niezorganizowanych w obydwu organizacjach, np. Bohdan Zadura, Jan Henryk Cichosz, ks. Janusz Kozłowski, Stanisław Żurek, ks. Krzysztof Guzowski, Sławomir Rudnicki, jeśli się uwzględni grupy poetów z Chełma, Zamościa, Białej Podlaskiej, Puław, a nawet Krasnegostawu (zorganizowanych wokół wydawanego tu kwartalnika „Nestor”) i Włodawy (zorganizowanych wokół wydawanego tu kwartalnika „Wschód”) otrzymamy obraz poetyckiego legionu, który pięknie kontynuuje tradycje swoich wielkich poprzedników.

Jerzy B. Sprawka

WIĘZI Część IV



Ze zniecierpliwieniem odpędzał cisnące się sceny i sytuacje, mające krótkotrwały związek z kobietami, które pozostawiły jakiś ślad w jego niespokojnym życiu. Znakomicie pamiętał imiona większości dziewczyn od Urszulanek. Pierwsze nieśmiałe pocałunki i niezgrabne pieszczoty. Podniecające prywatki i ostatnie rzędy krzeseł w przepelnionych kinach. Potem nastąpiły holówki. Były to najtańsze zabawy w studenckich domach akademickich. Przeleciało kilkanaście twarzy.

Witek w ogóle nie pamiętał radosnych chwil, które na pewno wypełniały pierwsze miesiące i dalsze lata małżeństwa. Pomimo zawartego ślubu, ich współżycie było ukradkowe i w ciągłej obawie przed niepożądaną ciążą. No właśnie. Skąd taka obsesyjna obawa przed macierzyństwem? Przed ojcostwem? – Zapytywał siebie, wsłuchany w urywane sapanie i westchnienia

zasypiających. Na te pytania nie znajdował odpowiedzi, a może nie chciał znaleźć, aby nie określić tego zwyczajnym tchórzostwem.

Koszmarną pustkę, jaka powstała po odejściu Krystyny Marii wypełniał alkoholem, przypadkowymi kobietami, wobec których udawał miłość, a potem ukrywał się przed nimi. Upajał się beznadziejnymi marzeniami o fortunie, która miała spaść z nieba. To alkohol spr-

wiał, że w zapamiętaniu, pełen próżnej pychy oczekiwał jej potulnego powrotu i wymyślał przeróżne formy upokorzenia. Nie dostrzegał, że upokarza siebie samego i staje się odstręczającym, zasługującym jedynie na pogardliwe współczucie stworzeniem.

Któryś ze śpiących głośno krzyknął przez sen i zaraz zawtórowała mu żalosna skarga psiego skomlenia.

Pamiętał czas, kiedy zazdrościł losu bezdomnym psom. Zazdrościł im nieskończonej wolności i tego, że nie znali czegoś takiego, jak wyrzuty sumienia. Pokonany skrywaną bezsilnością, okazywał pogardę całemu światu. Miał pretensję do wszystkich ludzi o to, że nie rozumieją go. Urągał świętościom i z bluźnierstwami odszedł od wiary. Ale tak naprawdę w najgłębszych pokładach duszy tęsknił do normalnego, rodzinnego życia, które zaprzepaścił.

Wysłuchany w mroczną ciszę nieznanego, ale przyjaznego domu, dziękował swojemu niezawodnemu patronowi za zstępujący sen.

Drewnem opalane pomieszczenie nie zapewniało ciepła na dłużej. Wszelkimi szparami przeciskał się chłód i szukał dla siebie dogodnego miejsca w nagranych zakamarkach ciała wypoczywających ludzi.

Ziębące barki zakłócały doktorowi sen. Chociaż był typem człowieka, któremu na wypoczynek wystarczało przysłowiowe „pięć minut” i nieobce mu były przypadkowe noclegi w prymitywnych warunkach, czuł niezrozumiałe podniecenie. Ciężki, cuchnący łojem i stęchlizną, prymitywnie wyprawiony kozuch, naciągał pod samą brodę, by zaraz jak najdalej zepchnąć z siebie trudne do zniesienia wonie.

Doktor Cisiak pochodził z innych, bardziej zagospodarowanych i gęściej zasiedlonych stron Lubelszczyzny. Z bogatej w historię krainy nadwiślańskich sadów.

Opowieść Makarego nie dawała spokoju. Doktor porównywał ją z doświadczeniami własnego ojca i bliskich krewnych. Choć były różne, miały jeden wspólny mianownik – głębokie poczucie odpowiedzialności za Ojczyznę i bunt przeciw zniewoleniu. Będąc dzieckiem, przyglądał się groźnym przemarszom wygłodniałych oddziałów spod różnych znaków: swastyki i trupiej czaszki, Czerwonej Gwiazdy i wszelakiego rojowiska ludzkiego. Zapamiętał jesienne wieczory, podczas których nasłuchiwał się przerażających opowieści obcych ludzi. Nie wiadomo skąd przybyłych i gdzieś nad ranem znikających.

Czterdzieste lata – najtragiczniejsze w dziejach świata doświadczenia narodów, niczego nie nauczyły? Mój ojciec skazany na dożywocie za przynależność do AK, a później do organizacji Wolność i Niezawisłość wybaczył swoim prześladowcom. Ale oni nie przebaczyli jemu – rozmyślał. – Do samej śmierci byli obecni po to, żeby przekonać się, czy świadek ich zdradzieckich, przestęp-

czych machinacji rzeczywiście zostanie pogrzebany. Witek obudził się, czując napływającą falę ostrego powietrza. Po chwili ktoś wszedł i z rumorem zwał naręcz grubo porąbanych bierwion. Nakryty ciężką pierzyną Witek udawał, że jeszcze śpi. Taka sytuacja była wygodna, ale nie mogła trwać bez końca. Czuł się niezłe i na tyle dobrze, że wstydziłby się czyjejkolwiek pielęgnacji. Postanowił wstać. Pokonując ból lędźwi usiadł na posłaniu, z ciekawością rozglądając się po zadymionej izbie.

Ktoś na kłęczkach, zgarbiony, wybierając popiół chrobotał w palenisku. Obok, zwinięty jak rogalik, leżał dość duży pies.

To pewnie Makary i Bazyl – domyślał się Witek. – Doktor pewnie jeszcze śpi – przypomniał sobie jego osobę.

Coraz gęstszy dym wypełniał pomieszczenie i tuląc się do powały, niechętnie wyciekał na zewnątrz przez uchylone drzwi. Skute lodem okienko wpuszczało mizerne światło dzienne, w którym widać było tylko zarysy skromnego wyposażenia wnętrza. Nad sobą dostrzegł krzywo zawieszoną ikonę. Przez chwilę przyglądał się wiśniowo-złocistym plamom, by wreszcie dokonać odkrycia, że oto przypatruje się wizerunkowi Matki Bożej Berdyczowskiej.

- Widać nie jest tak źle z panem, skoro już pan siedzi. Czy boli coś?

Witek odwrócił się w kierunku głosu. Z bocznego zakamarka wynurzył się postawny mężczyzna. Drapał się po odkrytej, owłosionej piersi i ziewał bez zażenowania w tak naturalny i sugestywny sposób, że zanim Witek odpowiedział na pytanie, musiał opanować potrzebę ziewnięcia; niewielkie rozwarcie szczęk powodowało boleści.

- Czuję, że posiadam prawą stronę pleców, głowę, a zwłaszcza twarz; okolice ust i szczęki mam zdrętwiałe – z trudem odpowiedział Witek, dotykając opuszkami palców części obrzękłej głowy. Chciał zaznaczyć lekceważący stosunek do swojego cierpienia.

Rozpalający ogień człowiek zrobił sobie przerwę i dzierżąc w rękach grube polana, wlepił oczy w siedzącego, jakby w ludzkiej postaci zobaczył coś nadprzyrodzonego.

- Potrafi pan chodzić? – zapytał doktor.

- Chyba tak. Spróbuję – odparł Witek zsuwając się z pryczy. Nie patrząc na obecnych, z ostrożnością, początkowo niepewnie prostował swoją sylwetkę. Trochę bolało, ale można było znieść ten ból. Zrobił pierwszy krok i następne.

- Bardzo dobrze – ocenił obserwujący – wykluczam pęknięcie kości biodrowej, ale z przykrością stwierdzam złamanie nosa.

- Co pan powie? – z niedowierzaniem zapytał Witek. Widząc stojące na stole lusterko, sięgnął po nie. – To nie

mogę być ja! – wymamrotał, przerażony lustrzanym odbiciem. Upstrzone przez muchy, poczerwiałe ze starości szkło ukazało grozę. Obrzmiałe wargi, odgięty w lewo spłaszczony nos zrównał się z opuchniętymi kośćmi policzkowymi. Z oczodołów wyzierały szparki wpatrujące się z przerażeniem w coś, co nie przypominało ludzkiej twarzy. – O Jezule! – wyjąkał tylko, opuszczając lusterko.

- Słyszę, że Boga wzywa – zauważył krzątający się przy kuchni Makary – i Bazyl nie jeży się, to znaczy człowiek dobry. On wnet wyczuł złego i zaraz swoimi kłami chwalić się gotowy. No, z serca ja ciężar stracił. A durny to durny stary, przez cało nockę oka nie zmrużył, tak bał się.

- Ja także źle spałem – wtrącił doktor – gdybyście Makary nie rozniecali ognia tak głośno, to może bym odspiał swoje. Nazywam się Cislak – wyciągając do Witka rękę, mężczyzna przedstawił się.

- Witek, Witold Popiołkowski, miło mi – tylko tyle powiedział załamany stanem swojej twarzy.

- Z nosem trzeba się udać do chirurga. Koniecznie.

- Jasne – zgodził się Witek i powtórnie spojrzął w lusterko. W ogóle nie poznawał siebie. Czuł się jak człowiek z zamienioną głową.

- To nie żarty. Mogą nastąpić komplikacje w oddychaniu. Niech pan tego nie lekceważy – doradzał sympatycznie wyglądający mężczyzna.

W głosie mówiącego brzmiały ledwie uchwytny tony ciekawości maskowane zatroskaniem. Witek zdawał sobie sprawę z tego, że choć nie pytany wprost, winien udzielić jakichś wyjaśnień.

Postawił jednak pytanie.

- Jak daleko stąd leży miejscowość Wołczyń?

Po tym pytaniu mężczyźni zastygli. Witek zauważył, jak obaj obrzucili się wzrokiem, a potem skierowali spojrzenia w jego kierunku.

- Poszedł – warknął stary i bez żadnego powodu dzielił przeciągającego się psa trzymanym w rękę drewnem. Pies zaskomlał i wlokąc pod brzuchem ogon, powoli ruszył w kierunku drzwi. Węszył.

- To niezbyt daleko – odparł z namysłem doktor. Chciał jeszcze coś dodać, ale stary wszedł mu w słowo.

- A do kogo się tam wybiera, jak nie tajemnica to, można wiedzieć? – W rękę obracał polano, jakby zapomniał, co zamierzał z nim zrobić.

- Do leśniczówki – zgodnie z prawdą odpowiedział Witek – do pana Brzozowskiego. Gdzie moja kurtka? – zapytał z przestrachem. Przypomniał sobie o liście.

- Wisi na krześle – odpowiedział doktor i wskazał brodą stojące pod ścianą staroświeckie koromysło.

Witek podszedł tam, pokonując ból i dotknął ręką bocznej kieszeni kurtki. Widział, jak obaj śledzili jego gest.

- Co jest, panowie? – zapytał Witek z niedowierzaniem.

- W kieszeni był ważny list. Co się z nim stało? – Patrzył z bezradnym wyrzutem na zakłopotanych mężczyzn.

Milczeli.

- Jak wytaszczyli my pana z limuzyny, to do tych pór żaden z nas nie wsadzał łap w nie swoje – ze złością odparł skulony przy kuchni człowiek. Cały czas poruszał głową i wzrokiem myszkował za czymś nieokreślonym.

Witek raz jeszcze sprawdzał kieszenie, by ostatecznie stwierdzić brak listu. Całkowicie już teraz załamany, opowiedział o celu swojej podróży i przygodzie, jaka go po drodze spotkała.

- To nie byli myśliwi! – dobitnym głosem podsumował gospodarz domu. Powłócząc nogą, zbliżał się do stołu. W jednym ręku trzymał wielką patelnię z dymiącą jajecnicą, w drugim dwa kawałki drewna, które miały posłużyć jako podstawka. – To nie byli myśliwi! – powtórzył. – To jakieś bandziory! Co doktor o tym myślisz?

- Ostatnio w tych okolicach dzieją się dziwne rzeczy – zaczął doktor. – Trzy dni temu spłonęło gospodarstwo w Zbereżu. Dzisiaj, to znaczy wczoraj z rana paliło się u Krupy w Wołczynach. W obu przypadkach prawdopodobnie z powodu zwarcia instalacji elektrycznej.

- Taaa – podchwycił stary – ale trzy dni przedtem młody Krupa zakopał swojego psa. Zdechł nagle. A do brego psa mieli Krupy. Szkolonego.

- Chcecie powiedzieć...

- Niczego nie chce powiedzieć – przerwał doktorowi Makary. Wydawał się być podrażniony. Wielkim jak kosa nożem odkroił trzy grube pajdy chleba. – Pora coś zjeść – mruknął, sadowiąc się za stołem.

- Muszę wyjść – odezwał się Witek, któremu od długiego czasu dokuczał wypełniony pęcherz. Nałożył koszulę i gruby sweter. Obejrzał naderwany kołnierz kurtki i ciężko westchnął.

Uchodzące z wnętrza izby do ciasnej przybudówki opary ciepła osiadały siwym szronem na wyświechtanej derce, która osłaniała bezpośrednio wyjście na dwór. Odgarnął zeszytywniały materiał i pchnąwszy rozchwirutane drzwi, wyszedł na roziskrzony słońcem podwórko. Porażony blaskiem zachwiał się i omal nie upadł. Ostre powietrze natychmiast przenikało całe obolałe ciało. Witek już dawno nie sycił oczu takim zapierającym dech widokiem. Świat cały otulony srebrzystym puchem szadzi, znieruchomiał w obawie potrącenia, choćby jednej kruchej gałązki.

Wydeptaną ścieżką dokużykał w pobliże drewnutni. Wdychał zapach butwiejącego drewna i ostrą woń oddawanego, zabarwionego na brąz moczu.

Za rozpadającym się lichym ogrodzeniem można było dostrzec stojący samochód. Witek domyślił się, że jest on własnością doktora Cislaka i to podniosło go na duchu. Ufał, że doktor nie odmówi pomocy. Po powrocie

do izby Witek zorientował się, że obaj mężczyźni podjęli jakieś decyzje. Milczeli, w oczekiwaniu na odpowiedni moment.

W zupełnej ciszy dokończył pozostawioną część ostygłej już jajecznicy i poczęstowany lipową herbatą poczuł się znacznie lepiej.

- Podczas pańskiej nieobecności – zaczął doktor Cislak – rozważaliśmy kwestię wizyty w Wołczynach...

- Najgorsze w tym wszystkim jest to, że postradałem list do inżyniera Brzozowskiego i nie wiadomo w których rękach się znalazł – wszedł w słowa Witek.

- No właśnie – podchwycił doktor. – Sądzę, że lepiej będzie, aby się pan nie ujawniał. Przynajmniej na razie – zastrzegł się, widząc, że Witek zamierza zaprotestować. – Mam nadzieję, że zdobędę akumulator do pańskiego wozu i jeszcze dzisiaj dostarczę. Natomiast Makary pod byle pretekstem skontaktuje się z panem Brzozowskim i uprzedzi przed ewentualnymi gośćmi.

Makary potakując głową, uznał takie wyjście za jedyne właściwe. Witek nie oponował.

Pożegnanie było krótkie. Ograniczyło się do serdecznego uścisku dłoni.

- Niech odpoczywa i nie wychodzi z domu – poradził Witkowi Makary, naciągając na jajowatą głowę prymitywnie uszytą z zajęczej skóry, wyliniałą papachę. – Może wleźć na komin i tam przespać się. Do wieczora, myślę, wrócim.

Wnętrza chaty nie rozjaśniały, harcujące po wierzchołkach drzew, radosne promienie słońca. Skute mrozem, ocienione stuletnimi świerkami okienka nie przepuszczały jaskrawego światła do ubogiego pomieszczenia.

Witek pozostał w towarzystwie mocno zbudowanego kundla. W słabym świetle dnia jego sylwetka wyraźnie odcinała się jasnożółtą sierścią. Ze złożonym na przednich łapach kanciastym łbem obserwował otoczenie i chyba akceptował Witka obecność, bo co jakiś czas, gdy ich spojrzenia spotkały się, przyjaźnie młócił ogonem o podłogę.

Poczerniałe od sadzy i dymu, drewniane, Bóg wie, kiedy bielone ściany, nie były zawieszane obrazami świętych, jak w wielu poleskich chałupach. Poza jedynym wizerunkiem przedstawiającym Matkę Bożą Berdyczowską, uwagę Witka zwrócił wiszący w sąsiedztwie obrazka zatłuszczony, dużego formatu i od dawna nieaktualny kalendarz. Był on dodatkiem do *Łowca Polskiego* na 1982 rok. Przyglądał się utrwalonej aparatem fotografa scenie.

Na tle ośnieżonego lasu stała grupa myśliwych z dumnie podniesionymi głowami. U ich stóp prezentował się pokot ubitej dzicyzny. Przedstawione zdjęcie informowało o udanym polowaniu i znajomości oby-

czajów łowieckich. Na szczycie rozkładu stała kobieta w stroju myśliwskim i trzymanym w ręku mosiężnym rogiem składała hołd należny kniei, łowcom i zwierzyńce.

Gdy Witek przypatrzył się lepiej, odnalazł zaznaczone ołówkiem kółka wokół trzech postaci. Zastanawiał się nad tym spostrzeżeniem długo i pełen nieprawdopodobnych przypuszczeń położył się na prycy, od której powiało stęchlizną i fermentującymi owocami.

Z uczuciem nieokreślonego lęku, mając jeszcze w pamięci przepływające obrazy sennych rojeń uniósł się. W wyźbionym pomieszczeniu panował mrok. Przy wiodących do sieni drzwiach czaił się pies. Okazując zaniepokojenie, z głębi cielska wydobywał złowrogo brzmiące tony. Nie zważał na ciepłe słowa, nawet na pieszczotliwość, uspakajający dotyk ręki. Z pyskiem przy samym progu węszył głośno i głucho warczał.

Coś się tam na zewnątrz dzieje – pomyślał Witek. – Na swojego pewnie by tak nie reagował. Może pod chałupę podkraść się jaki zwierzak?

- Cicho! Cicho bądź, Bazyl! – rozkazywał Witek. Szybkim krokiem zbliżył się do udekorowanego przez mróz, kwietnymi ornamentami okienka. Chuchał i pocierał palcami szybę, tymczasem pies okazywał rosnące rozdrażnienie.

Witek powrócił do drzwi i zwolnił zapadkę zamka. Bazyl smyrgnął natychmiast przed siebie, nic sobie nie robiąc z zawieszanej, sztywnej jak blacha zasłony. Maszynym karkiem uderzył w ledwie osadzone drzwi przybudówki i z głośnym ujadaniem zginął poza drewnitnią.

- Strzelaj! Strzelaj do jasnej cholery – usłyszał Witek piskliwy, nie odpowiadający męskiej intonacji głos.

Witek pamiętał ten głos aż nazbyt dobrze. *Wystarczy mu* – zabrzmiało tak naturalnie, że przestraszony wymknął się z domu. Och! Jakże się bał. Rozglądał się za miejscem, w którym mógłby bezpiecznie przeczekać do powrotu Makarego i doktora Cislaka. Nie opodał szopy na drewno, nad poziom ziemi wznosił się piwniczny kopczyk z wiszącymi na dolnej zawiasie drzwiczkami.

Doskoczył tam, zanim padł pierwszy strzał. Drugi strzał i kolejne zabrzmiały głucho i nie tak strasznie.

Po upadku na dno cuchnącego lochu z trudem zbierał poobijane ciało, by przenieść się w najciemniejszy kąt. Pod stopami czuł miękką substancję, w której zapadał się po kolana. Smrodliwe wyziewy przyprawiły o zawrót głowy. Dławiły oddech. Witek miał wrażenie, że zaraz się udusi. Brnął z wyciągniętymi do przodu rękami, aż natrafił na ziemną zaporę. Pod palcami czuł sztychy ostrej łopaty i uschnięte korzenie jakichś roślin. Całym sobą przyłgnął do ściany. Mając świadomość pełnej bezradności, czekał. Najpierw zauważył krótkotrwały błysk światła. Po chwili ostry strumień reflektora penetrował przepelnione odorem podziemie. W podłużnych

smugach widać było milionowe roje muszek i jakichś obrzydliwych ciem. Poruszało się to w powietrzu, jak delikatna materia potrząsana lekkim wiatrem.

- Jakiż tu smród – doleciał czyjś głos. – Hej! Jest tam kto? Wychodź, nie bój się, kimkolwiek jesteś.

- Człowieku! Jeśli tam jesteś, to wyjdź, bo się uduśisz! – nawoływał piskliwym głosem ktoś drugi. – Zabłąkaliśmy się w tym lesie – tłumaczył – i potrzebujemy pomocy.

Trwała niewiarygodna cisza. Witek pragnął, aby nie zdradziło go mocno tłukące się serce. Wstrzymał oddech.

- Tam nikogo nie ma – stwierdził czyjś głos. – Przecież nie sposób wytrzymać przy tej dziurze... zaraz będę rzygał.

- Przecież to nie jest sracz! – zapiszczało na górze. – Wejdź tam i sprawdź!

- Sam sobie sprawdzaj! – padła gniewna odpowiedź. – Nie zamierzam się babrać w gównie.

- Nie czujesz gnijącej kapusty i kartofli? – zabrzmiało fałszem. – To nie są gówna. Daję ci rozkaz!

- Uważaj! – padło ostrzegawczo. – Na tym odludziu jesteśmy sami i w równym stopniu samodzielni. Uważaj więc. Ja też mogę wydawać rozkazy. Stary wyraźnie zaznaczył, że mamy takie same uprawnienia.

Światło latarki zgasło.

- Jeśli okaże się, że na skutek twojego nieposłuszeństwa pozostaną świadkowie... pożałujesz, oj pożałujesz.

Ile w tym kobiecym głosie jadu i nienawiści – pomyślał Witek.

- Kiedyś ukatrupię tego sukinsyna – doleciało z góry zdecydowane postanowienie.

Otulony ciepłym, obrzydliwym wyziewem przegniłych warzyw słabł. Nie mógł ochronić się przed inwazją milionów muszek i jakiegoś pełzającego robactwa, które wciskało się do oczu, włąziło w nozdrza i wpadało w rozwarłe usta. Najłżejszy dotyk twarzy, próba strącenia lepkiej śmy sprawiał dotkliwy ból.

Na górze panowała cisza.

Podjeżdżając podstęp, bał się ruszyć z miejsca.

W końcu bliski szaleństwa wykonał pierwszy krok, drugi i kolejny, już z niezwykłym wysiłkiem. Wpatrzony w jaśniejący otwór dojrzał do pionowej ściany.

- Możliwe to? – zadawał pytanie, widząc się zawieszzonego na wyszlifowanym koniuszku rogatego księżycyca.

Talent zaklęty w dłoniach Paulina Andor



Paulina Andor, uczy się w ZSZ nr 1 i II LO we Włodawie w klasie drugiej o profilu matematyczno – fizycznym. Rysować lubiła od dziecka, jednak więcej czasu zaczęła poświęcać rysunkowi dopiero w gimnazjum. Początkowo wystarczały jej zwykła kartka i ołówek, teraz stara się rozwijać i próbuje zupełnie nowych, innych technik. Oprócz szkicu ołówkiem, maluje farbami akrylowymi, olejnymi, pastelami suchymi i olejnymi, węglem, kredkami, a nawet kawą.

– Malowanie daje mi możliwość oderwania się od rutyny dnia codziennego, odpoczywam, relaksuję się – w czasie pracy nie ogranicza mnie późna godzina, potrafię rysować nawet całą noc. Jestem samoukiem, nie uczęszczałam na dodatkowe zajęcia z rysunku, jedynym źródłem, z którego korzystałam były książki – prezenty od rodziców i najbliższej rodziny. Rysuję wtedy, kiedy czuję, że przez rysunek mogę coś wyrazić, nigdy nie zmuszam się do rysowania.

Paulina brała udział w wielu konkursach plastycznych o randze powiatowej, wojewódzkiej i ogólnopolskiej. – Nie zawsze udawało mi się zdobywać nagrody, ale nie one są dla mnie najważniejsze. Cieszy mnie, kiedy inni - oglądając moje prace - zatrzymują swój wzrok, wyrażają słowa zachwyty.

Prace przedstawione na łamach kwartalnika WSCHÓD przedstawiają twarze znajomych i rodziny młodej artystki, ale też osoby, których zdjęcia i portrety znalazła w Internecie i które posłużyły za temat jej prac.



Symbolika Świąt Bożego Narodzenia

Zastanawialiście się kiedyś, dlaczego kapusta, grzyby, mak, karp, chleb i kompot figurują na wigilijnym stole?

I dlaczego potraw musi być aż dwanaście?

Czego symbolem jest kruchy opłatek czy orzechy?

Dlaczego układamy pieczolowicie pod śnieżnobiałym obrusem siano?

I to magiczne wyczekiwanie na pierwszą gwiazdę, gdy raz po raz zerkamy przez okno na bajkowy, biały od śniegu świat...

W oczekiwaniu na wspólną modlitwę i wieszczerzę, zanim ktoś ogłosi „jest pierwsza gwiazdka!” na stół nakładamy biały obrus, a pod nim układamy garść siana. Świece, dekoracje i dwanaście potraw, a obok nich talerz dla niespodziewanego gościa. Stół albo choinkę ustrajamy jabłkami i dzwoneczkami (bombki to przecież pamiątka po jabłkach). Po symbolicznym łamaniu się opłatkiem, pośród gwaru zajadamy się kapustą i grzybami, grochem i rybą i wyczekujemy makowych łakoci bądź piernikowych ciasteczek. Ale chwileczkę. Skąd jednak te wszystkie punkty programu? Warto poznać genezę tych zwyczajów, żeby wiedzieć, co tak naprawdę kultywujemy we własnych domach...

Siano pod obrusem: Kiedyś całe stoły słano sianem. Na nie kładło się obrus i posypywało zbożem. Na wschodzie

i południu Polski słomą pokrywano całą podłogę. Często też, nawet na dworach magnackich, stawiano snopy siana w kątach komnat. Miał to być symbol ubóstwa, w jakim narodził się Zbawiciel. Czasem jeszcze wróży się z tych źdźbeł pod obrusem: jeśli panna wyciągnie zielone źdźbło oznacza to jej szybkie zamążpójście, jeśli trafi na zwiędłe - oczekiwanie, a żółte - staropanieństwo.

Ryba: Dla ludu ryba oznaczała płodność, życie rodzące się na nowo. W symbolice chrześcijańskiej miała podobne znaczenie. Stała się symbolem Jezusa Chrystusa i chrztu z wody (a więc nowego życia). Starogreckie słowo „Ichthys” („ryba”) jest akrostychem od „Iesous Christos Theou Hyios Soter” co znaczy „Jezus Chrystus Syn Boży Zbawca”.

Grzyby: Już w starożytnym Egipcie były uważane za pożywienie magiczne, pozwalające na kontakt ze zmarłymi.



Oprócz kontaktu z przodkami, mają ze sobą przynieść także dobrobyt.

Pierniki: To współczesna forma placków z miodem, które dawno temu składano w ofierze bogom. Ich kształt również ma znaczenie: dzwoneczki mają odpędzać złe duchy, choinki zwiastować płodność, koła symbolizować słońce i radość. Sam miód jest kojarzony ze światem bogów i dobrobytem, co widać nawet w naszym polskim frazeologizmie „Kraina mlekiem i miodem płynąca”. Miód ma też moc chronienia od złego. Zjedzony w czasie Wigilii miał zapewnić przychylność sił nadprzyrodzonych i dostatek.

Orzechy: Orzech włoski miał przysparzać mądrości, laskowy był symbolem pojednania, migdały mają przynosić zdrowie i nadzieję. Wierzono też, że chronią przed bólem zębów.

Oplątek: Nazwa tego pokarmu wzięła się od łacińskiego słowa „oblatum”, które oznacza „święcony chleb”. Jezus mówił, że jest „Chlebem Życia”. Oprócz tego oplątek ma także symbolizować pojednanie i miłość do bliźniego, która wyraża się również w składanych życzeniach.

Liczba dań: Początkowo wierzono, że tylko nieparzysta liczba może przynieść szczęście. Potem jednak ustalono liczbę 12, czyli tyle, ile jest miesięcy w roku. Później

przypisano temu symbolikę apostołską. Należy spróbować każdego dania po trochu, tak, by w przyszłym roku w naszym domu niczego nie zabrakło. W końcu na stole muszą znaleźć się dary przyrody z czterech stron: pola, lasu, sadu i wody.

Mak: Przynosi dobrobyt. Dlatego aż tyle wigilijnych potraw ma go w składzie (m.in. kutie, makówki, strucle makowe, pierogi na słodko). Mak był w dawnych czasach podawany podczas styp, a także pozostawiany jako dar dla błąkających się dusz. Pojawia się w takiej roli, choćby i w mickiewiczowskich „Dziadach”.

Liczba uczestników: Najlepiej, żeby wynosiła 12, czyli tyle, ilu było apostołów Chrystusa. Jeśli będzie nieparzysta, śmierć przyjdzie po jedną z osób przy stole. Przecież trzynastym Apostołem był Judasz, trzynastym gościem był też diabeł na sabacie czarownic.

Talerz dla niespodziewanego gościa: Stare polskie przysłowie mówi: „Gość w dom, Bóg w dom”. Nawet jeśli jest duchem przodka, czy w bardziej chrześcijańskiej wersji, samym Panem Jezusem.

Podczas pisania tekstu korzystano m.in. z publikacji „Świąty, zaświąty - o tradycji świątowań w Polsce” A. Zadrożyńskiej.

Mieczysław Tokarski

W 70. rocznicę walk partyzanckich na terenie powiatu włodawskiego: V Rajd



1 października 2014 roku odbył się V Rajd Szlakiem Walk Partyzanckich – organizowany już tradycyjnie przez Starostwo Powiatowe we Włodawie przy współudziale Włodawskiego Koła Światowego Związku Żołnierzy AK oraz Włodawskiego Oddziału PTTK. Głównym celem tegorocznej edycji rajdu było uczczenie 70. rocznicy działań partyzanckich na terenie powiatu włodawskiego.

Trasa rajdu przebiegała przez miejscowości bezpośrednio związane z działaniami partyzanckimi w roku 1944, to jest: Wiryki Adampol, Wola Wereszczyńska i Załucze Stare.

W rajdzie uczestniczyła młodzież szkolna z Łodzi – reprezentująca II, XII, XV, XVIII, XXI, XXXIII Licea Ogólnokształcące; IX, X, XIX, XXII Zespoły Szkół Ponadpodstawowych i Zespoły Szkół Techniczno-Informatycznych na zaproszenie ppłk. Stanisława Pasikowskiego, pod kierownictwem mgr.

Tomasza Szamburskiego. Z terenu powiatu włodawskiego I i II Liceum oraz Zespoły Szkół w Wyrkach i Woli Uhruskiej. Udział wzięli również kombatanCI – uczestnicy tych walk.

Rajd rozpoczął się na cmentarzu wojennym przy ulicy Lubelskiej we Włodawie. Uczestnicy rajdu zostali powitani przez:

Prezesa Włodawskiego Koła ŚZŻ AK, uczestnika walk kpt. Edmunda Brożka, ps. „Jeleń”,

Uczestnika walk partyzanckich w strukturach Lotnego Oddziału Partyzanckiego AK „Nadbużanka” – ppłk. Stanisława Pasikowskiego, ps. „Tygrys”,

Przedstawiciela Starostwa Powiatowego we Włodawie – redaktora Waldemara Zakrzewskiego, który też wykonał dokumentację fotograficzną rozpoczęcia rajdu,

Piszącego ten artykuł – prezesa Włodawskiego Oddziału PTTK – wraz z przybliżeniem historii tegoż cmen-

tarza – miejsca pochówku żołnierzy KOP poległych pod Wytycznem, poległych żołnierzy 33 Rezerwowej Dywizji Piechoty płk. Tadeusza Zieleniewskiego w ataku na Włodawę (17.09.1939 r.) oraz innych poległych w strukturach wojskowych i partyzanckich w okresie II wojny światowej na terenie miasta Włodawy i okolicy.

Głos zabrał również mgr Tomasz Szamburski, prezentując młodzież łódzką.

Następnie uczestnicy rajdu udali się na miejsce walki, która rozegrała się dnia 8.05.1944 roku – Wyrki Adampol. (O walce tej pisaliśmy w nr 4/8/2012 kwartalnika „Wschód”). Tutaj, przed pomnikiem postawionym w 50. rocznicę walki, wspomnieniami dzielili się uczestnicy tamtych zdarzeń: ppłk. Stanisław Pasikowski i kpt. Edmund Brożek.

Następny punkt wycieczki to Osada Adampol – teren getta i miejsce mordu ludności żydowskiej, a także miejsce spalenia ciał poległych partyzantów, upamiętnione pomnikiem. Ważnym celem uczestników rajdu był pałac myśliwski Zamoyskich – tablica pamiątkowa poświęcona gen. Franciszkowi Kleebergowi i SGO „Polesie”.

W kierunku Woli Wereszczyńskiej po drodze Urszulin – siedziba Dyrekcji Poleskiego Parku Narodowego. Tutaj uczestnicy, korzystając z przebogatej wiedzy, wysokiej klasy specjalisty – przyrodnika dr Andrzeja Różyckiego, zwiedzają Ośrodek Ochrony Żółwia Błotnego – jeden z elementów prowadzonej w parku czynnej ochrony tego gada.

Następny punkt rajdu to stary cmentarz pod Wolą Wereszczyńską. Miejsce pochówku poległych w dniu 12.03.1944 roku, żołnierzy Lotnego Oddziału AK „Nadbużanka” w walce ze zwiadem dywizji Kowpaka w Załuczu Starym, obok mogiła Józefa Milera, ps. „Sęp” – komendanta AK Obwód Włodawa i jego dwóch towarzyszy, zamordowanych w dniu 23.02.1944 roku w Załuczu Starym przez partyzantów sowieckich z grupy „Wołodii”.

Tu przed mogiłą, wspominając poległych, ppłk Stanisław Pasikowski, ps. „Tygrys” podzielił się z uczestnikami rajdu wspomnieniami z tych tragicznych dni.

Ostatnia droga z Załucza na cmentarz koło Woli Wereszczyńskiej była pełna bóleści wszystkich przyjaciół tych, którzy dzielili z nami partyzancką niedolę i wszystkich tych, którzy nieświadomie przyczynili się do ich śmierci. Sypiąc pierwsze grudy ziemi w siedmiokrotną otchłań, oddaliśmy ostatnią salwę honorową. Powracając na kwatery w milczeniu i w zadumie, rozważaliśmy, każdy na swój sposób, jedną i tę samą tragedię. Mieszkańcy Załucza i okolic, zwłaszcza poczwie kobiety, opłakiwały swych obrońców jak synów.

Komentowano różnie, zwłaszcza później, jak się dowiedziano, że to rosyjski oddział był przyczyną śmierci poległych partyzantów.

Po zapaleniu zniczy nastąpiło pożegnanie z przemyłymi współtowarzyszami rajdu z Łodzi, którzy ze względu na znaczną odległość zmuszeni byli do powrotu. Był to już 4

dzień ich pobytu na ziemi włodawskiej. Następnym punktem: to Wola Wereszczyńska – jedna z najstarszych miejscowości w gminie Urszulin, wzmiankowana już w XVII wieku.

Miejsce boju oddziałów partyzanckich z ekspedycją niemiecką w dniu 17 VI 1944 roku (Obraz walk przedstawia Adam Panasiuk w wydawnictwie książkowym Wola Wereszczyńska – Zawadówka – Babsk, Śladami zapomnianej historii, Urszulin 2013)

Niemiecką reakcją na aktywność „podziemia” była pacyfikacja Woli Wereszczyńskiej, dokonana 17 czerwca 1944 r. Przeprowadzono ją w ramach akcji „Maigewitter” /tj. „burza majowa”/ „Vagabund”/ tj. „włóczyki”/, której celem było „wyczyszczenia” zaplecza frontu.

Plany niemieckiej akcji poznał wcześniej Iwan Banow, który mógł dokładniej przygotować się na przyjęcie wroga. O szykowanym ataku wiedziało też dowództwo AK, dlatego zbliżających się od strony Wołoszkowoli i Sosnowicy Niemców zaatakowali w Jamnikach. Wcześniej rozpoczęła się wymiana ognia w Woli Wereszczyńskiej pomiędzy Niemcami, a połączonymi oddziałami Siemona Baranowskiego, Iwana Banowa i mjr Wincentego Rożkowskiego ze zgrupowania „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Przebieg walki w szerokiej płaszczyźnie przedstawił Iwan Banow. Opis ten jednak fałszuje poniekąd obraz bitwy, zwłaszcza umniejszając zasługi partyzantów AK, a przypisując je swojemu oddziałowi. Już w latach 80-tych XX w. ówczesna prasa uznawała pomoc partyzantów AK za kluczową dla losów walki. Jako pierwszy z pomocą pośpieszył z Lipniaka oddział AK Stanisława Parzeckiego ps. „Mars”.

Bój toczył się od godz. 9⁰⁰ do 21⁰⁰: W ciągu tego czasu odparto 9 regularnych niemieckich ataków. W starciu uczestniczyło ok. 140 partyzantów AK, 150 – Siemona Baranowskiego, 80 – Iwana Banowa i 60 – ze zgrupowania „Jeszcze Polska nie zginęła”. Siły niemieckie składały się z batalionu SS policji sturmbannfuhrera Lippmanna, wspomagany przez szwadron kawalerii SS z Chełma i kompanię SS z obozu szkoleniowego w Trawninkach. Natarcie piechoty wspierał ostrzał z 3-4 samolotów i 5-6 działek.

Trudne do ustalenia są straty walczących stron. W oddziale AK „Marsa” ciężko ranny został jedynie Bolesław Majewski. Wśród Niemców – według oficjalnie potwierdzonych danych – miały zginąć 2 osoby, a 13 odnieść rany. Kilku zabitych i rannych miało być również w oddziale Banowa, a 6 u Baranowskiego.

Podczas niemieckiego nalotu spłonęła trzecia część zabudowań Woli Wereszczyńskiej, w tym wiatrak Sytyka.

W uznaniu za wkład w walce z hitlerowskim okupantem mieszkańców Woli Wereszczyńskiej odznaczono w 1981 r. Krzyżem Partyzanckim.

Z kolei bezpośredni uczestnik tych zdarzeń ppłk. Stanisław Pasikowski, ps. „Tygrys” tak wspomina ten dzień:

(Stanisław Pasikowski, Lotny Oddział AK „Nadbużan-



ka”, Łódź 2003) 17.06.1944 r. oddziały niemieckie nacierały na nasze tereny. Główne nasze siły – oddziały „Marsa”, „Ludwika” i „Singla” – urwały z nami kontakt i rozsiadły się w okolicach Parczewa, Zahajek i Radzynia. W rejonie stałych naszych siedzib znajduje się oddział generała Baranowskiego, stacjonujący w Woli Wereszczyńskiej i Zawadówce, a płk. „Czornego” bodajże w Wólce Wytyckiej.

Pluton „Nadbużanka” na czele z „Jarema” (jako jego ochrona), stacjonował wówczas we wsi Czarny Las. Natarcie Niemców skierowane było na generała Baranowskiego od strony Załucza i Sosnowicy – 17.06.1944 r. Atak od strony Załucza był wielkim nieporozumieniem i błędem, gdyż Niemcy musieli brnąć do Zawadówki przez rozległe łąki i bagna połączone z jeziorem Łukie. Gdy dotarła do nas wieść o akcji niemieckiej – „Jarema” wysłał mnie na zwiady do Załucza, polecając jednocześnie nawiązać kontakt z generałem Baranowskim. „Zapytanie Baranowskiego, na który odcinek mamy uderzyć” - powiedział mjr w białej furazerce. Jeździł on zawsze konno, a teraz od kilku dni nasza trójka konnego zwiadu tj. „Żółw”. „Szczygieł” i ja towarzyszyliśmy mu bez przerwy. Zabrałem do towarzystwa „Szczygła” i najpierw stępa, a później galopem wpadliśmy do Załucza. Gdy dojeżdżaliśmy do znanego mi domu, generał stał na odkrytej wiejskiej werandzie i powitał mnie gromkim okrzykiem – „cześć kolega!” – brzmiało to niezbyt po polsku, gdyż generał był Rosjaninem żydowskiego pochodzenia. Ale w głosie tym przebijała się niezwykła serdeczność. Powitaniom nie było końca, a już szczytem wszystkiego było zachowanie się generała, gdy usłyszał z moich ust, że przyjechałem uzgodnić kierunek naszego natarcia. Powtarzał kilkakrotnie „kochany „Jarema” chce mi pomóc – naprawdę dziękuję - proszę przekazać mjr „Jaremie”, aby plutony waszego dowódcy zaatakowały Niemców od strony Lipniaka. Generał na pożegnanie nasypał mi pełny chlebek amunicji do krótkiej broni – mówiąc: „bierzcie ile chcecie, bo my

mamy częste zrzuty, wy natomiast nieczęsto macie okazję witać lotników z Londynu”. Przyznałem generałowi rację i czerpałem jeszcze te skarby z otwartej szafy. Mała wiejska szafa miała wysoki próg i na poziomie jego leżało luzem chyba około pół metra amunicji kaliber 9.

Odjeżdżając długo patrzyłem na machającego ręką generała, jego olbrzymie szlify na ramieniu błyszcząły z daleka. Niemniej był rozczulony major „Jarema”, gdy zdawałem relacje z wykonanego zadania.

Po otrzymaniu ode mnie informacji, mjr „Jarema” natychmiast wydał rozkaz poszczególnym dowódcom plutonów do wzięcia udziału w walce z oddziałami SS. Nacierali one na Wolę Wereszczyńską od strony Urszulina.

„Mars” i „Singiel” dostali polecenie przedrzeć się ze swoimi ludźmi przez las w okolicach Lipniaka. Nawiązać kontakt w „Czornym” i udzielić mu wsparcia w kontrataku (kompanie „Marsa” i „Ludwika” powróciły na te tereny). Por. „Ludwik” i por. „Rokicz”, zgodnie z rozkazem uderzyli na Niemców od strony Orzechowa. Uderzenie było gwałtowne, odciągając tym samym przeciwnika od ataku na oddział gen. Baranowskiego. Część byłego oddziału „Nadbużanka” została oddelegowana przez „Ludwika” do ochrony sztabu „Jaremy”. Niezależnie od „Nadbużanki”, „Jarema” posiadał osobistą ochronę 2-ch bardzo bojowych partyzantów tj. Henryka Radziszewskiego ps. Skok” i Bogdana Flisa ps. „Mały”. Plutonem ochrony w tym czasie dowodził chorąży „Zagłoba” – Konstanty Piotrowski.

W czasie walki, która trwała cały dzień, sztab „Jaremy” stacjonował w Zbójnie. Z walki tej wyszliśmy bez strat śmiertelnych.

Kolejny etap rajdu to przejście piesze z Woli Wereszczyńskiej przez Zawadówkę turystycznym szlakiem oznaczonym kolorem czarnym do platformy widokowej na jeziorze Łukie w Poleskim Parku Narodowym.

Jezioro Łukie – największe jezioro na terenie Poleskiego Parku Narodowego o powierzchni około 150 hektarów i głębokości do 6 metrów. Zbiornik eutroficzny z bogatą roślinnością wodną i szuwarową o typowym strofowym układzie zespołów roślinnych. Zarośla łozowe na brzegach, następnie wysokie szuwały i oczerety. Tutaj też spotykamy niezwykle ciekawą roślinę, jest nią mięsożerna aldrowanda, pęcherzykowata, chwytająca drobne organizmy wodne. Roślina ta pozbawiona jest korzeni i swobodnie pływa w toni wodnej.

Przy tym jeziorze powstała w latach dwudziestych XX wieku mała osada Dębiny – Łukie, Wandy i Stanisława Ulaśińskich. W uroczysku Ulaśińscy wybudowali drewniany domek z balkonem od strony jeziora. Na zewnątrz domek zdobiony był na ludowo, a ściany porastała pnąca się winorośl. Część zamieszkałą przez pracowników folwarcznych zwano Rybakówką. (Przewodnik turystyczny Urszulin 2012 – opr. Adam Panasiuk i Andrzej Różycki.) Obok dworu

znajdowały się budynki gospodarcze i lodownia na ryby. Ułasińscy utrzymywali się z ryb łowionych w jeziorze Łukie i hodowanych w stawach. Majątek znacjonalizowano po II wojnie światowej. W roku 1959 całą posesję zlikwidowano, a jezioro przekazano na potrzeby Państwowego Gospodarstwa Rybnego. Do dziś przetrwała jedynie studnia, parę drzew owocowych i ślady dawnej grobli.

Jako ciekawostka, to tutaj, na Rybakówce urodziła się w dniu 29 maja 1943 roku Ewa Ułasińska – późniejsza aktorka, która grała w filmie „Kochajmy syrenki” (1966) i „Oz zgłoś się” – odc. 9. „Rozkład jazdy”.

I ostatni etap trasy pieszej – atrakcyjne przejście w przepięknej scenerii jesiennej z bogatym komentarzem przyrodniczym – ścieżką przyrodniczą „Spławy” do Załucza Starego.

Wzmianki o wsi Załucze Stare pochodzą z końca XVI wieku. Historia tej miejscowości związana jest ściśle z rodem Wereszczyńskich. Na przełomie wieków XIX/XX Załucze Stare było słynne z wyrobu bryczek. W okresie II wojny światowej teren ten, podobnie jak w czasach powstania styczniowego, był zapleczem dla wielu oddziałów powstańczych, głównie Armii Krajowej. Pamiątką wydarzeń sprzed 70 lat jest:

- pomnik upamiętniający morderstwo Józefa Milera, ps. „Sęp”(22.02.1944 r.) – komendanta obwodu włodawskiego AK i jego dwóch towarzyszy: adiutanta ppor. Józefa Majewskiego, ps. „Jotes” i szer. Józefa Pasonia, ps. „Słowik” – przez sowieckich partyzantów z grupy „Wołodii”.
- pomnik pamięci Żołnierzy Lotnego Oddziału AK „Nadbu-

żanka” poległych 12.III.1944 r. w pomyłkowej walce z sowieckim oddziałem dywersyjnym. Pomnik ten został odsłonięty w dniu 29.09.2014 r. Głównym inicjatorem powstania tego pomnika był ppłk Stanisław Pasikowski, który cudem ocalał podczas tej potyczki.

W Załuczu Starym funkcjonuje Ośrodek Dydaktyczno-Muzealny Poleskiego Parku Narodowego (ODM). Jest to obiekt edukacyjny. Część muzealną tworzy budynek główny z muzeum i wiata ekspozycyjna. Na terenie Ośrodka znajdują się także obiekty służące edukacji przyrodniczej. Całość uzupełnia infrastruktura techniczna w postaci zadania turystycznego z miejscem na grill i ognisko. I to właśnie tutaj w godzinach popołudniowych odbyło się zakończenie V Rajdu przy ognisku turystycznym, gdzie uczestnicy mogli wysłuchać partyzanckich wspomnień kpt. Edmunda Brożka, a także skosztować wyjątkowego „partyzanckiego” bigosu. Towarzystwo stanowiła grupa bocianów białych, które ze względu na stan zdrowia nie mogły odlecieć do ciepłych krajów, a tutaj w ODM znalazły zimową przystań.

- Rajd był elementem edukacji historycznej i formą uczczenia bohaterskich postaw Polaków podczas II wojny światowej i bezpośrednio po niej – mówi prof. Mariusz Czuj, opiekun drużyny z „Modrzaka”. To była wspaniała lekcja trudnej polskiej historii i historii, która nie jest czarno-biała, lecz zawiera odcieni tak wiele, jak wiele jest barw na tęczęj palecie. Często bardzo trudno uchwycić jednobarwne postaci, bo złożoność chaosu czasów wojny i powojnia była ogromna.

Po zakończonym ognisku i rajdzie - powrót autokarem do Włodawy.

Włodzimierz Czeżyk

Gody jeleniowatych



Przed świętami Bożego Narodzenia w wielu reklamach widać zaprzęgi reniferów świętego Mikołaja. W Polsce nie ma dziko żyjących reniferów, są za to inni przedstawiciele jeleniowatych: jelenie, łosie, sarny i daniele. Wśród miłośników przyrody największe emocje budzi obserwacja jelenich godów.

We wrześniowe wieczory i poranki po lesie rozlegają się ryki byków jeleni. Już w końcu sierpnia byki rozpraszają się po terenach leśnych, gdyż wcześniej były zgrupowane w chmary (stada) i intensywnie żerowały, bowiem w czasie godów prawie nie pobierają pokarmu i po ryko-

wisku ważą znacznie mniej niż przed. Mocne byki podczas rykowiska gromadzą wokół siebie po kilka, a nawet kilkanaście łań. Są to byki nazywane w gwarze łowieckiej stadnymi. Bronią one swojego haremu łań przed innymi bykami. Czasem poszukujący łań mocniejszy byk po zwyciężym pojedynku zdobywa miejsce pokonanego byka



stadnego. Wytrawni myśliwi potrafią odróżnić jelenia po ryku: czy jest to byk stadny, czy poszukujący łań, czy też jest to młody byk kręcący się wokół chmary łań tak zwany chłyst lub kibic. Podczas rykowiska często słyszy się głosy jeleni, rzadziej jednak ogląda się pojedynki byków. Takie zmagania jeleni wyglądają jak średniowieczne turnieje rycerskie. Konkurenci po rozbiegu z impetem zderzają się wieńcami poroży i przepychają się, aż jeden z nich zwycięży. Czasem jest to pojedynek nerwów, gdy byki idą obok siebie, kiwając głowami i słabszy ustępuje bez walki. Tyki poroża jeleni są tak zbudowane, aby nie raniły w walce ciała rywali. Jednak czasem mogą być zakończone ostrymi grotami. Kilka razy spotkałem w prasie łowieckiej fotografie i relacje świadków, którzy widzieli dwa byki jelenia splecione wieńcami, które zginęły z wycieńczenia organizmów. Często symbolem kiczu w sztuce jest obraz z ryczącym jeleniem i znajdującymi się łańiami. To jest jednak normalny obrazek z natury. Mniej spotykane i rzadziej opisywane są obyczaje godowe innych jeleniowatych, a mianowicie łosi i saren. Zaraz po rykowisku jeleni już w październiku rozpoczynają się gody łosi zwane bukowiskiem. Byki łosi aktywnie poszukują gotowych do godów samic i wydają odgłosy podobne do ryków jeleni. Kiedy odnajdą rujną kłepę, nie odstępują jej i bronią przed innymi bykami, potem poszukują następnej. Byki walczą także zaciekle ze sobą i czasem kończy się to śmiercią jednego z nich. Na terenie Polesia Lubelskiego jest coraz więcej łosi, zatem o spotkanie z nimi

coraz łatwiej. Najmniej głośne są gody saren. Odbývają się one od połowy lipca do końca sierpnia. Samce sarny, czyli kozły już od wiosny mają swoje stałe terytoria, których bronią przed innymi samcami. Słychać je czasem, kiedy wydają charakterystyczne szczekanie, strasząc się nawzajem albo ostrzegając o niebezpieczeństwie. Samice saren, czyli kozły podczas godów wydają głos – cienie piski słyszalne z odległości kilkudziesięciu metrów. Kiedy taka koza wkroczy na terytorium jednego z samców, on goni ją w koło. Dlatego czasem można spotkać w zbożu wydeptane przez sarny koła. Myśliwi doskonale znają obyczaje godowe zwierzyny i potrafią podczas polowania wabić samce za pomocą specjalnych wabików. Kozły sarny wabione są piskiem kozy, zaś byki jeleni wabi się ryczeniem na różnych tubach - muszli trytona czy szkle od lampy naftowej, a nawet na złożonych dłoniach wabiarza. Dla miłośników tego rodzaju polowań organizowane są konkursy oraz warsztaty połączone z nauką wabienia zwierzyny. Wbrew pozorom nie jest to łatwa sztuka. Inaczej ryczą byki stadne, a inaczej poszukujące łań i właśnie takie dźwięki w zależności od sytuacji oponowują wabiarze. Dawniej kiedy polowało się na łosie, byki wabiono za pomocą tuby wykonanej z kory brzozywej. Na takim instrumencie podobno wytrawni wabiarze z Polesia potrafili przyciągnąć byki ze środka śródlęśnych bagien. Współcześnie takie polowania na łosie odbywają się w Ameryce Północnej i w krajach skandynawskich.

Józef Bohdan Zaleski

– piewca Kresów

Czym była Litwa dla Mickiewicza i Słowackiego, tym była Ukraina dla Józefa Bohdana Zaleskiego. Był on poetyckim piewcą urody tych wschodnich rubieży dawnej Rzeczypospolitej. To właśnie tutaj, na tych terenach współistniały ze sobą kultury różnych narodów, spośród których wyróżniał się folklor ukraiński i polski i również tutaj przeżył swoje dzieciństwo oraz lata młodości Bohdan Zaleski.

Bujna przyroda, szerokie przestrzenie, groźne jary, zielone, niczym wyspy na stepie ostrowy i burzany, tajemnicze wzgórza i kurhany, tradycje wspólnych walk Polaków i Ukraińców z Tatarami i Turkami oraz rzewne, ludowe melodie i pieśni natchnęły lirę poety do tworzenia przepięknych, malarskich strof. Wrażenia z czasów bezpośredniego obcowania z ludem i przyrodą kresów, utworzyły jakiś świetlany, magiczny obraz, który przechowywał Bohdan przez całe życie z pierwotną żywością blasków i barw. Legendy i mity brzmiące w ludowych pieśniach i dumach, opowiadające o heroicznych czynach rycerzy polskich i ukraińskich fascynowały młodego poetę. Wsłuchiwał się w ludową pieśń. Słyszał ją na polu, przy pracy wieśniaków, słyszał od lirników i bandurzystów. Drżał z przejęcia na dźwięk piosenki o dziewczynie, która zioła warzyła i otruła nimi kochanka. Słuchał tej pieśni, w której zęgnął matkę i siostrę młody chłopak przed wyjazdem, bez powrotu w daleką gdzieś stronę... A smutny ton pieśni, co płynął ku gwiazdom ze znikającej chłopskiej duszy, budził głęboką zadumę, budził czucie na ludzką niedolę. Kresy były mitycznym świadkiem świetnej rycerskiej przeszłości Polaków i Ukraińców. To w tej ziemi leżały kości ojców i dziadów, odnoszących niegdyś sławne zwycięstwa, a takie postacie, jak Iwan Mazepa czy Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny znalazły trwałe miejsce w historii i kulturze obu narodów.

Jest to także ojczyzna najbardziej rozwiniętej poezji ludowej, kraj pełen tradycji, określonych zwyczajów, przesądów, wróżb, przepowiedni, a więc wiara w czary i zjawiska nadzmysłowe. Niektóre elementy pejzażu i folkloru kresów, które odmalował w sposób niezwykle barwny wciąż jeszcze istnieją i są bliskie mieszkańcom powiatu chełmskiego, przemyskiego, czy zamojskiego. Pieśń gminna, którą poeta tak umiłował i wspaniale przetwarzał na język literacki nie tylko nie zginęła, ale w dalszym ciągu się

rozвивa. Powstają liczne zespoły folklorystyczne, organizowane są festiwale muzyki i pieśni kresowej.

Rzewne i tęskne melodie, z których czerpał Bohdan pełnymi garściami do swych wdzięcznych dum i dumek przeżywają obecnie renesans. Dzisiaj na terenach południowo-wschodniej Polski folklor ukraiński i polski powoli integruje się i koegzystuje we wspólnej symbiozie, tworząc specyficzny konglomerat, odradzającej się kultury kresowej. Dlatego mieszkańcom tego regionu melodyjna, barwna i rzewna twórczość Zaleskiego powinna być bliska i zrozumiała. Niestety jego utwory zostały niemal całkowicie zapomniane. Po ogromnej popularności tej poezji w okresie romantyzmu, w następnych okresach zaczęła ona stopniowo zniknąć nawet z podręczników i wypisów szkolnych. Zaś po II wojnie światowej stała się całkiem nieznaną. A przecież Zaleski stawiany był przez długi czas w rzędzie największych i najlepszych poetów – najczęściej obok Mickiewicza, a często ponad Słowackim. Szczególnie cenił talent Zaleskiego sam Adam Mickiewicz, który w słynnej przedmowie do petersburskiego wydania „Po-ezji” z 1829 roku wymienił go obok Burnsa, Herdera, Goethego i Scotta. Później zaś przed całym światem, bo z katedry College de France ogłosił Zaleskiego największym ze wszystkich poetów słowiańskich. Do tych pochlebnych opinii dołączyli również poeci i krytycy, między innymi: M. Mochnacki, S. Goszczyński, M. Grabowski, S. Witwicki. Poezją Bohdana zachwycała się także przedstawicielka pozytywizmu - Maria Konopnicka. Pisała o nim następująco: „Kochał nas – i my go kochamy. Dla prostoty serc, dla czarodziejstwa pieśni, dla wiary w wielkie, ogromne dobro miłości bratniej. Kochamy tego ptaka bożego, który śpiewał nam pieśń słodką, wiośnianej otuchy, bo on lutnią narodu odgrywał w łkaniach za młodu”. Pozytywnie wyrażali się o twórczości Zaleskiego wybitni historycy literatury polskiej, to jest: A. Mazanowski, S. Zdziarski, J. Tretiak.

Dziwi więc fakt, że tak znakomity artysta zniknął z parnasu polskiej poezji, a przecież był poetą niezwykle oryginalnym. Szukał własnych dróg, nie naśladował nikogo. Niezwykła oryginalność Zaleskiego objawia się w tworzeniu nowych form gatunków poetyckich, we wprowadzeniu do naszej literatury nowych stworzonych przez niego rodzajów poezji, a mianowicie dum, dumek, rapsodów, fantazji, czy miniatur poetyckich, nazywanych pyłkami, szumkami i wiośniankami. Nikt przed nim, ani nikt po nim nie mógł się poszczycić w okresie romantyzmu tak nowatorskimi dokonaniem. Poza tym stał się on również twórcą sentymentalnej wersji romantyzmu. Miał też licznych naśladowców, następców i kontynuatorów swego programu, do których zaliczamy: T. Lenartowicza, W. Pola, W. Syrokomlę i innych poetów.

Twórczość Zaleskiego integralnie związana z Ukrainą, przez historyków literatury zaliczana była do tak zwanej szkoły ukraińskiej, której przedstawicielami byli również A. Malczewski, S. Goszczyński i inni poeci regionu. Kochał Zaleski Ukrainę i opiewał jej urodę, folklor i obyczaje, ponieważ tutaj przyszedł na świat i tu spędził lata dzieciństwa i wczesnej młodości.

Urodził się 2 lutego 1802 roku we wsi Bohatyрка na Ukrainie w guberni kijowskiej, w zubożałej rodzinie szlacheckiej jako najmłodszy syn spośród trzynastorga dzieci Marii i Wawrzyńca Zaleskich. Wcześniej osierocone dziecko, wychowywane najpierw przez najstarszego brata Eliasza, a później przez ciotki, często zadumane patrzyło w dal zielonych traw i kurhanów i w rozwartą błękit ukraińskich nieb. Dziecinne lata Bohdana pełne były swobodnego kontaktu z naturą, z bujną ukraińską przyrodą oraz folklorem kresów, który okazał się później ważną inspiracją dla jego twórczości.

Pierwsze poetyckie kroki stawiał w Humaniu, gdzie kształcił się w sławnej Szkole Bazylińskiej. Tam też wspólnie z S. Goszczyńskim i M. Grabowskim założył stowarzyszenie poetyckie, które od pierwszych sylab ich nazwisk otrzymało nazwę Za-Go-Gra. Już wtedy szybko zdobył sobie miano i opinię zdolnego poety. Następnie podczas pobytu w Warszawie i jej okolicach rozwinął swój talent w całej pełni. Dzięki pomocy K. Brodzińskiego i A. Odyńca zdołał opublikować na łamach pism warszawskich wiele znakomych utworów. Były to dumki i rapsody, takie jak: „Dumka hetmana Kosińskiego” czy rapsod „Janusz Bieniawski”. Cechą tych utworów jest ruch i pęd, a rytm wierszy wywołuje wrażenie galopu końskiego. Z kolei w „Śpiewie poety” Zaleski stworzył doskonałą kompozycję dźwięków, tonów, radości i żalów w swojej gęśli. W dumie „Damian książe Wiśniowiecki” jako pierwszy wprowadził do polskiej literatury postać starego wróżbity Nauma, który był prototypem mitycznego Wernyhory. Natomiast w dumie „Z pieśni ludu ukraińskiego” nadaje urok nie-

przeparty nutą tęsknych pieśni ludowych, przepojonych melancholią i smutkiem elegijnym. Największy arcyzm osiągnął poeta w swym wspaniałym poemacie zatytułowanym „Rusałki”. Przepięknym słowem, w najdelikatniejszych rysach, oddał nam poezję pełną szczerą, pierwotną miłości, która stroi tło życia w tęcze barwy. Jest to utwór pełen niepokojów, czułości, pełen wiary w szczęście wymarzone, który kończy się łzami i żalem. Zaleski przez usta bohatera wyraził w nim dzieje własnego serca, ze szczerością, prostotą, wdziękiem, we właściwy sobie muzykalny i plastyczny sposób. Wyjątkowym klejnotem w jego poezji, ze względu na egzotykę, jest prześliczna fantazja „Śpiewająca jezioro”. Poeta skomponował tutaj przepiękną i niepowtarzalną scenerię barw i dźwięków. Stworzył spektakl światłocieni, zestrojonych z melodią niebiańskich harf w nadmysłowe, polifoniczne misterium życia i śmierci. Zupełnie inny nastrój posiada poemat „Czajki”, którego najcenniejszą zaletą jest oryginalny, ognisty temperament kozacki, który porywa czytelnika i przenosi w wyidealizowane krainy przeszłości rycerskiej. Zaś śpiewność, melodyjność i rytmika są tu po prostu niezrównane. Tworząc swoisty obraz Ukrainy Zaleski posłużył się trzema symbolami. Jednym z nich jest postać ukraińskiego barda-Bojana, legendarnego śpiewaka znad Dniepru. Drugi symbol to skromny skowronek lub słowik, co oznacza pokorę wobec świata, szczerość serca, prostotę i ufność w wyroki boskie. Trzecim symbolem jest naiwność dziecięca, która łączy się u poety z apologią kraju z lat dziecinnych, swoistą arkadią dzieciństwa. U Bohdana arkadyjską krainą szczęścia jest właśnie Ukraina, świat zamierzchłej, rycerskiej przeszłości, pełen chwały i baśniowego uroku, a także kraina głębokich, tajemniczych więzi między człowiekiem a przyrodą. Pierwiastek ludowy odegrał ważną rolę w jego twórczości, gdyż wpłynął na język i rytmikę utworów, co uczyniło go najśpiwniejszym z poetów polskich. Stosowanie paralelizmów, anafory i różnego rodzaju powtórzeń dawały efekt ludowego zawodzenia. Meliczność poezji Zaleskiego była tak sugestywna i urzekająca, że uznano go za arcyministra melodyjności. Wyniósł on metrum ludowego sylabotonizmu ponad wulgarność i uczynił szanowaną wartością literacką. Innowacją było wprowadzenie przez niego nazw z obszaru ukraińskiego oraz regionalizmów. Hordy tatarskie, janczarki, limany, kurhany, burzany, ostrowy, czajki, jary, porohy, bałki wzbogaciły i podkreśliły egzotykę słownictwa. A słowa takie, jak: „Lachy”, „czarnobrewka”, „torban”, „kurzeń”, „ładan” wprowadziły w krąg potocznego języka ukraińskiego. W ten sposób stał się Zaleski romantycznym głosicielem urody języka polskiego Kresów Wschodnich, który poprzez literaturę uczynił ogólnonarodowym dobrem kultury.

Jego twórczość pozbawiona akcentów buntowniczych nie kreowała bohatera literackiego na miarę he-

rosa, buntownika, Prometeja, ale przywoływała paralelnejski model skromnego człowieka. Przedstawiała obraz świata harmonijnego, opartego na jedności człowieka z naturą. Elementy barw i światła, wrażenia ciągłego ruchu i nieustannej przemienności, a zwłaszcza muzycznej, wziętej z folkloru w jego poezji stanowi jej walor niedościgniony przez innych. Bohdan swym talentem oszlifował ludowy folklor Ukrainy, tworząc z niego doskonałe klejnoty poezji romantycznej.

Pieśni, obyczaje, tańce, podania, obrzędy, przyroda stepów, toerbanieści, wierzenia w czary, boginki, mity o bohaterach oraz cały kozacki świat Ukrainy wkroczyły na karty poezji Zaleskiego i sprawiły, że jego poezja jest jedyna w swej oryginalności. Przyciąga tajemniczością i niezwykłością. Słychać w niej muzykę stepu i galopującego na koniu nieokiełzanego Kozaka.

Tak jak jego poezja jest wspaniała, tak i postać Zaleskiego była jedną z najwybitniejszych osobowości polskiego romantyzmu. Swoją wysoką pozycję zawdzięczał nie tylko znakomitej twórczości, ale również swojej nienaganej, patriotycznej postawie. Brał aktywny udział w powstaniu listopadowym. Walczył jako żołnierz w stopniu podporucznika w bitwach pod Dobrem, Sochaczewem i Grochowem. Po kapitulacji Warszawy otrzymał krzyż *Virtuti Militari*. Ponadto w czasie trwającego powstania, wybrany posłem na sejm jako reprezentant powiatów wschodnich, forsował sprawę uwłaszczenia chłopów. Przebywając na emigracji, założył wspólnie z Adamem Mickiewiczem w Paryżu Towarzystwo Słowiańskie. Wiódł życie poety-wędrowca, często zmieniającego miejsce pobytu. Najczęściej jednak wracał do swego ulubionego Fontainebleau.

Ożenił się dość późno, bo dopiero w wieku 44 lat z Zofią Rosengardtówną, przybyłą do Paryża z Warszawy, uczennicą Chopina.

Po śmierci Adama Mickiewicza Zaleski stał się opiekunem i doradcą braci emigracyjnej. Jako ceniony poeta, ponadto człowiek serdeczny i życzliwy ludziom, wiele razy służył radą i pomocą. Pisali i przyjeżdżali do niego między innymi Cyprian Kamil Norwid i Teofil Lenartowicz, aby prosić o ocenę, radę lub wstawiennictwo.

Na emigracji Zaleski nie zaniedbywał swojej twórczości. Powstały finezyjne dумы historyczne takie, jak: „Wyprawa chocimska”, „Trechtymirowski monastyr”, „Lach serdeczny na marach”, których tematami są zwycięstwa oręża słowiańskiego oraz poematy epickie: „Złota Duma”, „Potrzeba zbaraska”. W 1839 roku wydany został niezwykle oryginalny wiersz „Sen-Drzewo-Wieszczce” o charakterze symboliczno-profetycznym. Utworem napisanym z największym epickim rozmachem był historyczny poemat „Duch od stepu”, w którym dzieje świata przedstawione są jako senna wizja poety i splatają się z poetycką,



mityczną autobiografią, która traktowana jest jako senne widzenie. Poeta kontynuował też temat kresowy w wierszach stylizowanych na ludowe pieśni, będące obrazkami z życia ludu ukraińskiego. Nazwał je szumkami, wiosniankami i pyłakami, doprowadzając stworzone przez siebie rodzaje poetyckie do arcy mistrzostwa. Czytając te przepiękne, skrzące się barwami miniatury poetyckie („Czarnoksiężniczka”, „Zaranek”, „W spółce ze słowikiem”, „Tędy, tędy leciał ptaszek”), odnosi się wrażenie przedziwnej lekkości, nieokiełzanej swobody żeglowania puszystych piór na tle purpurowo-błękitnej przestrzeni otulającej bezkresny step. Mickiewicz pisał, że Zaleski wyczerpał wszystkie sposoby, wszystkie rytmy, wszystko, co jest najświetniejszego w kolorycie, najdelikatniejszego w odcieniach. Dlatego wielką szkodą dla literatury polskiej jest nieobecność w antologiach, podręcznikach oraz wypisach szkolnych tak przecież znakomitej i wartościowej poezji Zaleskiego. Jej oryginalna prostota, wdzięk, a jednocześnie plastyczność i meliczność zachwyca swoją harmonią i precyzją słowa. Tkwi głęboko korzeniami w tradycjach kultury kresowej.

Dzisiaj w dobie skrajnego racjonalizmu taka poezja pełna tajemniczego uroku, ewokująca swoistego rodzaju magią może być odskocznią od szarej rzeczywistości, terapią i wędrówką przez lepszy, piękniejszy świat dla tych wszystkich, którzy są wrażliwi na piękno słowa. Twórczość „słowika polskiego romantyzmu” powinna znów zaistnieć i zdobyć nowe rzesze czytelników. Dotyczy to szczególnie południowo-wschodniego regionu naszego kraju, ponieważ utwory Zaleskiego są integralnie związane z folklorem tych terenów zamieszkałych zarówno przez Polaków, jak i Ukraińców. Zaś pieśń ludowa, którą tak ukochał Bohdan przeżywa rozkwit, stając się modną i popularną. Należy więc mieć nadzie-

ję, że poezje Bohdana Zaleskiego wrócą na należne jej miejsce w polskiej literaturze i ponownie załsnią barwnym światłocieniem finezyjnych strof.

DUMKA HETMANA KOSIŃSKIEGO

Hop, hop, cwałem koniu wrony,
Leć do pułków, do mej żony,
Dłużej chwilką
Jeszcze tylko
Do Stawiszcz mi służ!

Od Piatyhor, Pawołoczy
Bieży tłumnie lud ochoczy,
Nalewajki
Lotne czajki
Płyną Dnieprem już.

Wnet pospieszą rejestrowi
Ku odsieczy Czehrynowi,
Przy rozgłosie
Dum po rosie
Przypuścimy szturm.

Zagra ziemia pod kopyty,
Proch pomiecie słupem wzbity,
Urah! Głosy
Pod niebiosy
Wzlecą z brzękiem surm.

Ho, ho, darmo – nigdy w stepie
Zdrad tatarskich nie prześlepie,
Jak się biją?
Gdzie się kryją?
Znam jak murza hord.

Umiem z nagła wpaść na karki,
Rąbać szabla, grzmieć z janczarki;
W lewo, w prawo
Szybko, żwawo
Nieść ogień i mord.

Widać, widać już Stawiszczce,
Wiatr w chorągiew miasta świszczce,
Daszka szyki
Brzmią okrzyki,
Biją dzwony z wież.

Dniowa gwiazda, chmurna, blada,
Za Krzywiecki las zapada,
Wrony koniu,
Po tem błoniu
Prędzej, prędzej bieź.
Miga w dali dwór mój biały,
Grają trąbki, grzmią wystrzały,
Widna moja
Złota zbroja,
Sokół, chart i koń.
I ot stoi tam u drzewa
Moja młoda czarnobrewa,
Piękne oczy
Łzami mroczy,
Załamuje dłoń.

Oczu-ż pięknych żal się Boże !
Co płacz marny dziś pomoże ?
Kiedy wola
Sejmu, Króla,
Każe w pole nam.

Wolniej, wolniej, koniu chyży!
Niech się luba moja zbliży,
Stój, stój, chwilę,
Niech się schyle,
Pocałunek dam.

Nie płacz, nie bluźń, moja droga!
Śmierć i życie w mocy Boga.
Proś Go lepiej,
Niech pokrzepi,
Natchnie męstwem nas.

Nie płacz, nie bluźń, moja droga!
Wrócę zdrowy – w łasce Boga,
Przez las dołem
Z psem, sokołem,
Wrócę w ranny czas.
A gdy śpiącą cię zastaniem,
Zbudzę głośnem całowaniem,
Klasnę, świsnę,
Zbroją błysnę,
Z czoła otrzesz znój.

Nie płacz, nie bluźń, czas upływa,
Bądź mi zdrowa i szczęśliwa!
Próżne słowa,
Bądź, bądź zdrowa!
Dalej, koniu mój

Z notatnika Nadbużańskiego aforysty satyryka

W tym wydaniu prezentujemy Państwu klasyczne limeryki cenionego literata z Lublina Henryka Ryszarda Żuchowskiego, oraz Aldona Dziećcioła, a także fraszki znanego fraszkopisarza z Zamościa - Mariana Kaczmarczyka, gdzie przedmiotem żartu i refleksyjnej zadumy jest erotyka.

Limeryki: Ryszard Żuchowski

Implanty

Pijany KRAKUS trzeźwieć szedł w Planty.
A kogo spotkał to był ANTY.
Używał do swych racji
ręcznych argumentacji.
Stracił portfel, oko i IMPLANTY.

Zdziwienie

Do Łodzi żeglarz bardzo młody
przyjechał z jachtem na zawody
Zdziwił się nagle
Stawiając żagle
Że wszędzie jest Łódź, lecz nie ma wody.

Kosz

Sąsiadka, przez okno na Bałutach
zobaczyła i przybiegła w sprawie PSIUTA!
On odmówił tej lafiryndzie
co to chciała się kochać w windzie.
A w tym bloku winda jest zepsuta!

Sposób

W pewnej wsi SCZEROŚĆ-
jest zasada,
że sąsiad spowiada sąsiada.
I kościół jest pełen cały.
I pełne konfesjonały.
I nikt nieprawdy nie gada.

Niewdzięczność losu

Księgowa na obozie w Spale
BIEGAŁA i liczyła wspaniale
W OSZCZĘDZANIU – Rekord świata!
W KSIĘGOWANIU – SUPERATA!
I tak skończyła w kryminale.

Fraszki: Marian Kaczmarczyk

Coś więcej

Splot serc to znacznie więcej,
niż splecione ręce.

Małomówny zalotnik

Nie pieści kobiet komplementami,
Bo lubi to robić... palcami.

Rozdwojony

Choć blondynka go podnieca,
do szatynki się zaleca.

Dobra Rada

Chcąc mieć względy kobiety,
trzeba poznać jej sekrety.
I tu uwaga mała:
sekrety ciała!

Serce i dusza

Serce potrzebuje serca,
bez wątpliwości,
by dusza mogła zaśpiewać
pieśń i miłości.

Cena miłości

Na próżno bogaci i głupi
chcą sercu miłość
za pieniądze kupić.

Zawiedziony poeta

Gdy do seksu poczuł „wenę”
Żona rzekła : Mam migrenę!

O stanowczej żonie

Do niej należy ostatnie słowo.
I nie ma nic w tym złego.
Ale on nigdy nie może
powiedzieć słowa pierwszego.

Ramolowi

Nie myśl o młodej żonie,
gdy tliś się,
a nie płoniesz.

Nieżyciowe wskazówki

Nie wierz żadnemu mężczyźnie
- matka córkę pouczała.
Ta do serca wzięła słowa
i... starą panną została.

Wybrał i opracował: *Lubart*

Limeryki: Aldon Dzieciół

Był w miejscowości Gołąb
człek z aspiracjami,
lecz nie szło to w parze
z jego kwalifikacjami.
Gdy kolejny raz
z pracy wyleciał,
orzekła kadrowa Agnieszka:
że choć w Gołębiu mieszka,
to z niego wyrodził się nielot,
a teraz trudne są czasy
dla takich miernot!

Twardziel - wiejskie zabawy
rozganiał!
I nie wiedzieć czemu dla dziewoj
-był niczym bożyszcze.
A mieszkał we wsi Horodyszczce.
Czas szybko płynął
i po bożyszczu,
gdy dłuższą miał odsiadkę
wszelki słuch zaginał!
Chociaż po wsi się niesie,
że dwie panny, co w nim się kochały,
później
w wózeczkach mu dziarskie
dzieci bujały!
Czekają stęsknione
obydwie, co powiły,
- wierząc w jego witalne siły.

Żyje we wsi Utrzesz
babcia Teodora co ma wnuka,
jak sama mów - studenta-nieuka.

Co narzeczoną ma
z Pryszczowej Góry
z którą o zgrozo!
Był, zanim przystąpili do matury.
Gdy się o wszystkim
biedna babunia dowiedziała,
do kościoła poleciała
i na mszę dała.

Zięc we wsi Bazar,
chcąc teściową zagłuszyć,
na bazarze papugę jej kupił!
Teściowa dalej
z rezonu nie spuszczała
i jak katarynka nadawała!
A papługa, skrzeczała, skrzeczała,
aż na chrypkę zachorowała
i teściowej nie przekrzyczała.
Więc teściowa w Bazarze, na bazarze
w nos zięciowi się śmiała!
A gdy się do niej nabzdyczył,
szmundakiem go nazwała.

No i proszę, czytając oniemiał,
a mówią, że ja offerma,
ni z gruchy, ni z Pietruchy -
wydedukował pewien gość z Chełma.
A był to chimeryk.
A gdy przeczytał o sobie limeryk,
chimerycznie wykrztusił:
o rany, piszą o mnie peany!
No, nareszcie będę
przez kobiety kochany!

Mistrz Ryszard Żuchowski

W felietonie o Bon Tonie – Komplementy, pochlebstwa, pochwały



Wprawdzie znany siedemnastowieczny historyk Thomas Fuller przestrzegał, tylko komplementy wroga należy traktować poważnie, ale któż z tych, którzy są na nie łąsi, uwierzy dawno nieżyjącemu Anglikowi. Szczególnie z nas, gdzie komplementy są w cenie i zajmują w kontaktach międzyludzkich drugie miejsce zaraz za kłamstwami.

Dlaczego je lubimy i akceptujemy? Ano dlatego, że częśćka prawdy, jaka jest w nich zawarta przez to, że zostaje zwielokrotniona ukazuje nas w takim świetle, w jakim chcemy siebie widzieć i pozwala ludzić się, że to, co kiełkuje w naszych marzeniach, chociaż na sekundę staje się faktem.

Komplement ma tę przewagę nad pochlebstwem, że można go zaakceptować, gdyż fakty zawarte w tym pierwszym mają cechy prawdopodobieństwa, zaś to drugie jest szyte grubymi nićmi, iż jedynie człowiek ograniczony nie zauważy, że pochlebca robi zeń durnia.

Ale z komplementami trzeba ostrożnie, bo mimo naszej dobrej woli możemy niechcący kogoś urazić, ponieważ niekiedy mogą one zabrzmieć dwuznacznie. Czy nie sprawimy przykrości starszemu panu, mówiąc mu, że świetnie się trzyma, kiedy on ma właśnie ma zamiar się żenić? Czy będzie zachwycona dziewczyna, którą pocieszy koleżanka, że mimo krytycznych uwag otoczenia, ona w tej sukni wygląda znakomicie? Lepiej w takich sytuacjach zamilczeć. Komplement trafny, przyjemny nie znosi banału ani zbytnej górnolotności. Wprawdzie mówimy je kobietom, jak i mężczyznom, ale tutaj trzeba zauważyć, że to co przystoi adresować do pani, nie zawsze wypada powiedzieć do pana.

Komplement powiedziany kobiecie przez kobietę bywa często złośliwy, przez mężczyznę - podejrzany. Jeśli pani komplementuje pana, można mniemać, iż się za tym kryje jakiś interes. Mężczyznom nie wypada prawić sobie komplementów dotyczących urody i wyglądu, natomiast można się zachwycać dokonaniem organizacyjnymi, twórczymi i zawodowymi. Ryzykowne jest komplementowanie pryncypała, bo stawia to obie strony w niezręcznej sytuacji, jeśli za chwilę pracownik będzie miał do niego jakiś interes. Natomiast nie szczędźmy bliźnim pochwał, skoro na nie zasłużyli.

Nic tak nie podnosi na duchu, jak zasłużona pozytywna ocena, której każdy jest spragniony. Pochwała tym się różni od komplementu, że jest rzeczowa i pozbawiona wszelkich ochów i achów, oparta na faktach, a nie życzeniach.

Coraz częściej odchodzi się od powszechnego zwyczaju prawienia kobietom komplementów w pracy, a dotyczących ich urody i wyglądu. Takie wyrazy zachwyty - udawane czy prawdziwe - bywają traktowane u naszych przyjaciół na zachodzie jako molestowanie seksualne, co dla autora komplementu kończy się nie zawsze wesoło. A ponieważ równouprawnienie dotyczy, jak sama nazwa wskazuje, obu stron, panie mogą być posądzane o to samo.

Do wszelkich typów pochwał, komplementów i pochlebstw, można odnieść się w wieloraki sposób. Albo nie zwrócić na nie uwagi, przyjąć je z przymrużeniem oka, podziękować. Nie wypada krygować się, zaprzeczać, komentować. Najbardziej na miejscu będzie słowo dziękuję w stosownej tonacji.

Okrutnie niegrzeczne są komplementy dwuznaczne, składające się z dwóch części - pozytywnej i negatywnej. Przykład jednego z takich zademonstrował kiedyś Julian Tuwim, wkładając w usta bohatera swojej sztuki następujące oświadczenie: „Z dnia na dzień wygląda pani piękniej, a dziś ma pani wyjątkowy dzień. Już dziś wygląda pani tak, jak będzie pani wyglądała jutro”. Jak zareagowała adresatka tego komplementu? Po prostu mężczyzna usłyszał słowo: CHAM! I to była właściwa reakcja.

Od wojny do wojny. *Włodawa i okolice* *w latach 1914-1945*



Józef Matczuk i jego plecionki



Rzeźby Sylwestra Sowy

